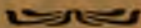


SOWIĘDRZAŁ

sławny trefniś XIV wieku i jego awantury.



Zbiór bardzo interesujących przygód i figlów.



WARSZAWA.

Nakładem księg. Ch. I. Rosenweina, Marszałkowska 114.

1910.

Cena 30 kop.

<http://rcin.org.pl>

SO WIZDRZĄ

stawny trójnis XIV wieku i jego swawiny.

Kolor bardzo intensywnych przęd i tęgów



WARSZAWA

Wydawnictwo „Książka i Wiedza” Warszawa

Wydanie 1958 r.

1000

<http://rcin.org.pl>

Sowizdrzał

sławny trefniś XIV wieku

i jego awantury.



Z B I Ó R

bardzo interesujących przygód

i figlów.



INSTITUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 71
Tel. 26-68-63
WARSZAWA.

Nakładem księgarni Ch. I. Rozenweina, Marszałkowska 114.

1910.

23.917

Druk A. Thiella, w Warszawie, Elekoralna 14.

<http://rcin.org.pl>

Zabawny wypadek.

W roku 1304, za panowania Fryderyka z ukąszonem licem, gdy zielenią poczęły pokrywać się pola saksońskie, w biskupstwie Mersenburgu, urodził się Jan Sowizdrzał.

Rodzice jego zanosili modły, aby Opatrzność zesłała im syna; wielka też radość zapanowała w tym niezbyt zamożnym lecz bardzo bogobojnym i uczciwym domu, gdy prośba ich została wysłuchana.

Sowizdrzałowie wyprawili sute chrzciny, na które zjechało się wielu krewnych i znajomych z okolicznych wiosek, a nawet z dalszych stron.

Na chrzcie nadano naworodkowi imię Jan. Gdy wracano z kościoła, oddalonego od miejsca zamieszkania o kilka wiorst, nie mogło się obyć, bez zwyczaju, szeroko wówczas rozpowszechnionego, ażeby nie wstąpić do przydrożnej karczmy. Tu orszak zapełnił całą izbę i nuż raczyć się upajającymi napojami, które w końcu zoproszyły nieźle głowy brzydkiej połowie rodu ludzkiego, a nieco nadobnej płci, jak to: akuszerce, mamce i paru kumoszkom. Nieźle też kieszeniom ulżono, za to humor okraszył lica biesiadników.

Ani się spostrzeżono, jak poczęło szarzeć na świecie, a tu pozostała jeszcze połowa drogi do przebycia. Wygramolono się z izby; jedni krocząc ku wyjściu podpierali sążnięcie ściany, gdyż mimo wysiłków trudno im było utrzymać równowagę chodu, inni, wzięwszy się pod rękę, czynili

śmieszne zygzaki, chroniąc się nawzajem od sromotnego wypadku.

Trudno opowiedzieć co się działo na drodze, boć o zmroku, po pijanemu, podlegali wielu złudzeniom. Narzeczcie dotarli do drewnianego wąskiego mostku, pod którym spływała brudna, cuchnąca woda.

Jakkolwiek dla trzeźwego nie przedstawiało żadnej trudności przejście przez ów mostek, to jednak, dla narzeczego wesołego orszaku, wydawał się ryzykownym.

Zaczęto się sprzeczać, kto pierwszy da początek, lecz nie mogli dojść do porozumienia, jak zwykle między ludźmi nienormalnego stanu. Spór zakończyła akuszerka, śmiało przeszedłszy kładkę, za nią ruszyła mamka z dzieckiem. Ledwie że znalazła się na środku mostku, zachwiała się, zapewne pod wpływem paskudnego napitku, i nagle rymnęła w wodę. Powstał krzyk i bieganie po brzegu; niejeden zamoczył się dobrze w strumyku, niosąc opastej mamce pomoc. Ta zmoczona do nitki wraz z niemowlęciem nie mogła wygramolić się z kałuży. Dopiero, podpierana rękoma kilku kmotrów, wydostała się szczęśliwie na przeciwległy brzeg.

Po tej przygodzie, czereda nieco oprzytomniała i bez dalszych przykrości dostała się do domu. Tu wymyto należycie przyszlą podpórę domu, trzy razy chrzczoną. Raz w kościele, co najważniejsze, drugi raz w błotnistym strumyku, co mogło nie mieć miejsca, a trzeci raz w ciepłej, czystej wodzie, co było koniecznem następstwem.

Zebrani goście orzekli, że Janka czeka niezwykłą przyszłość ze względu na dziwne zdarzenie, w którym spisał się po bohatersku, gdyż po wydobyciu go z rowu, miał płakać, uśmiechał się figlarnie, ruszając główką to w lewo, to w prawo, co niezmiernie ucieszyło wówczas ululaną gromadkę.

I rzeczywiście przepowiednia miała rację bytu, bo życie naszego bohatera składało się z przeróżnych przygód, towarzyszących mu od lat dziecięcych, częstokroć niebezpiecznych dla jego żywota. Będąc w groźnej sytuacji lub w pomniejszej, dzięki swoim fortelom, umiał zwycięsko z niej wychodzić.

Mimo prowadzenia życia aż nazbyt awanturniczego doczekał się długich lat, zawsze będąc z siebie zadowolony, nigdy nie szemrząc na upośledzenie swoje od losu.

Wiele nabroił, bez szkody dla zdrowia swego,
Boć nie prędko zazwyczaj djabli wezmą złego,
A jak dawał on radę w każdej życia dobie,
To dalsze rozdziały mieszczą fakty w sobie.

Na odpusćcie.

Cieszyli się rodzice nad szybkim rozwojem Janka, który w niespełna cztery miesiące wydobywał się gwałtem z powijkaków. Z postępem czasu był nad wyraz pojętny i rokował wielkie nadzieje, a jak mniemał papa, ku pożytkowi szerokiego ogółu.

Mając piąty rok, poprzestawał z chłopcami starszymi od siebie o kilka lat, przytem i przebiegłością przewyższając niemało, to też potrafił ich wyprowadzać w pole, gdy się okazała ku temu sposobność. W pomysłach był niezrównany, a w kłótni nie ustąpił na krok, choćby miał przypłacić guzem,

Umiał każdemu coś spocić, nieraz z krzywdą, mimo to wybaczano mu i proszono do zabawy. Był bardzo pożądanym i bez niego żadna rozrywka nie miała już tak dobrego powodzenia. Poważniejsi nawet gospodarze chętnie przypatrywali się zdala igraszkom małego Sowizdrzała, który wzbudzał nieklamany humor i podziw w widzach swoim wrodzonym dowcipem w przeróżnych figlach.

Przebrała się miarka a to ze względu na coraz złośliwsze figle Jankowe, wobec czego jego ojciec był atakowany raz po raz przez sąsiadów, że nie otacza odpowiednią opieką swego ośmioletniego już pupila, który przyczynił się: to do podbicia oka synowi szewca, gdy malec ten wpadł w dół, z wierzchu celem upozorowania pokryty przez Janka gałązkami i zielskiem; to znów syna stolarza, naraził na potężnego guza, zamknąwszy go w ciemnej stajence, gdzie znajdował się mały żrebak, który nieproszonego

gościa poczęstował kopytkiem; burmistrzowemu zaś synkowi kazał skakać w świeży gnój, pokryty po wierzchu darnią, iż ten pewny, że to był zwykły kopiec spełnił jego żądanie i umazał się jak nieboskie stworzenie i to w nowym w dodatku ubraniu. Wiele innych skarg jeszcze napływało.

A że Janek był bardzo przykładnym w domu i ojciec nie zauważył naocznie ani u siebie, ani u siebie, jak również po za domem zarzucanych zdrożności, przeto począł się zastanawiać, czy aby złość ludzka nie naigrawa się czasem z niego, zazdroszcząc mu takiej pociechy.

Po głębszem zastanowieniu się, postanowił śledzić postępowanie syna i sam się przekonać o prawdziwości słów, jak mniemał, nieżyczliwych sąsiadów.

Jakoż pewnego świątecznego dnia wybrał się konno do sąsiedniej wsi, w której przypadał odpust, usadowiwszy za sobą Janka.

Będąc już blisko owej wsi, pomyślał sobie, jak się też zachowa jego syn przez czas odpustu i czy będzie miał choć jeden dowód brzydkiego charakteru chłopca.

Gdy wjechali na szeroką drogę, przecinającą wieś, wiele już było zebranego ludu.

Tymczasem hultaj chłopak, za plecami ojca, obrał niezwykłą pozycję, rzadko praktykowaną i uwydatnił pewną część ciała, zwolnioną z pokrycia. Wkrótce wśród tłumu odzywały się okrzyki, wymyślenia na podobne bezeceństwo, co zwróciło uwagę zacnego życiodawcę psotnego smarkacza, jako, że to w jego stronę wymierzano przeróżne epitety. Obejrzał się w tej chwili po za siebie, lecz chłopczyzna siedział spokojnie na swoim miejscu, niby trusia.

Dziwił się dobroduszny papa dla jakiego istotnie powodu ludziska urągają im obojgu, bo ani on, a tembardziej grzeźniej zachowujący się synek niczem na to nie zasłużyli.

Żałośliwe lamentowanie Janka tembardziej utwierdziło ojcowskie mniemanie o niesprawiedliwym zachowaniu się pospółstwa.

— Niech tatuś sam osądzi, co ci brzydzący ludzie chcą odemnie. Siedzę najspokojniej przez całą drogę, przyglądając się z ciekawością naokół, a tu wciąż słyszę nieprzyzwyczajone wyrazy, wymierzone w moją stronę, od których aż mię uszy bołą. Po co mnie tatuś brał ze sobą, nie lepiej by było mi siedzieć w domu, uniknąłbym przynajmniej takich złorzeczeń jak: zbereźnik, ladaco, łobuz, hultaj z pod ciemnej gwiazdy, bezwstydnik itp.

Poczem udawał że płacze, a skorzystawszy, że papa się odwrócił, przyprowadził wnet do porządku swój dobry strój.

Gdy dojechali już do końca wsi, stary zawrócił konia z zamiarem przejechania raz już odbytej drogi i udania się prosto do domu,

Przyszła mu myśl do głowy, iżby Janka usadowić na przodzie, co też uczynił, ciekawym będąc, czy fatum i tym razem będzie ich ścigało.

Dla Janka nicponia zmiana ta nie bardzo przypadła do gustu, lecz i tu znalazł sposobność popuścić wodze przewrotnej swojej natury, bo siedząc o ile możliwości nieporuszenie i trzymając prosto głowę, wywiesił jęzorek, ile się tylko dało, wykrzywiając przytem twarz do niemożliwości.

— A nicpoń, gałgan, zrócić go z konia — wołał ktoś z tłumu.

— Ha! to ten sam urwipoleć, co to nas obrażał niegodnym widokiem — krzyczał drugi.

— Precz z tym smarkaczem, co śmie nas tak znieważać — wrzeszczała jakaś baba.

— Łajdak! trzeba go nauczyć rozumu, bo ten stary niedołęga pozwala mu widać robić, co zechce—dodał podtatusiały wieśniak.

Przestraszony ojciec starał się coperędzej przejechać wieś, niewiedząc o co tu chodzi, bo i teraz nie zauważył, by syn czemkolwiek naraził się przechodniom, niespokojne więc zachowanie się ludzi, wśród których spostrzegł niejedną znajomą twarz, kładł na karb oczywistej złośliwości, niczem niewytłomaczonej, i z ulgą odetchnął gdy się znalazł w szczerem polu.

Powróciwszy do domu użalał się przed żoną, tak pocziwają jak i on sam, co go spotkało, a do syna rzekł w te słowa:

— Drogi Jasiu, nie frasuj się zbytnio wypadkiem, jaki nas spotkał. Żli ludzie uwzięli się prześladować twoją niewinność, grzeczność i układność, bo zazdroszczą, iż mam tak dobrze wychowanego syna. Widać przeznaczonym jest, abyś w życiu swoim dużo cierpiał, tem większa przeto będzie twoja zasługa, im cierpliwiej znosić będziesz uragowisko ludzi złej woli. Daż zawsze drogą prawości i bądź wyrozumiały na ułomności bliźnich, a zjednasz wielu dla siebie; sprawiedliwy sąd czy wcześniej czy później nie minie cię z pewnością

I mimo tej pocieszającej tyrady ze zmartwienia, położył się spać, czy nad dolą syna, czy też nad ułomnością ludzką, trudno było dociec, bo wkrótce współczujący Morfeusz przyjął go w swoje objęcia.

Nazajutrz dowiedział się od sąsiadów o karygodnem postępku syna, ze wszelkimi szczegółami, jak to było na owym odpuszcie, nie chciał dać jednak temu wiary, przeciwnie uczuł się dotknięty niegodziwością kmiotków, korzystających z lada sposobności, by i jemu dokuczyć i w krótkim czasie opuścić niewdzięczną wieś i osiadł na stałe w oddalonej o kilka mil mi-ścieńie, położonej nad rzeką Muldą, mniemając, iż kochany Jasio uniknie bezpodstawnych napaści.

Niestety, w parę tygodni, zacne ojczysko, wskutek silnego przeziębienia, zaniemówił i niezadługo umarł, nie mając możności przekonać się, czy i na nowem siedlisku, prześladowano by jego młodocianą latorośl. Nic dziwnego w swem zaślepieniu, nie spostrzegał brzydkich wad syna, a co oby widzieli i odczuwali, boć kochał wielce swego jedynaka.

Prawdziwy niepoń, co naigrawając się z ludzi,
Jeszcze w sercu ojca współczucie budzi.

Sowizdrzał linoskokiem.

Dopóki mąż utrzymywał dom z pracy rąk własnych, gospodarstwo szło jako tako, gdy go jednak nie stało, wdowa poczęła cierpieć biedę i zmuszona była pracować na siebie i na swego gagatka, który, nie czując ojcowskiej nad sobą powagi, bisurmanił się po za domem, w oczach matki starając się być jaknajukładniejszym, co matkę wielce radowało, że żadne skargi przez pewien już czas do niej nie dochodziły.

Nie długo cieszyła się pocziwa kobiecina pozornym tym spokojem, bo sąsiad zaskarżył ją do sądu o zwrot kosztów za koguta, którego jej syn żywego powiesił na gałęzi, aż biedne stworzenie zdechło. Rada nie rada, za niedozór pupiła musiała zapłacić według wyroku. Odbiła stratę na skórze winowajcy Janka, który przyrzekł sobie nie dać się łatwo złapać na gorącym uczynku, jak to się z owym kogutem stało, gdy zląził z drzewa.

Niespokojna jego natura szukała raz po raz okazji do ćwiczenia się w karkołomnych sztuczках. Korzystając, że matki w domu nie było, wdrapał się na strych i znalazł w kącie złożoną linę. Wnet przywiązał ją do przeciwległych belek, poczem stanął na linie, próbując stawiać pierwsze kroki.

Każdy początek przedstawia zawsze pewną trudność, tymbardziej w kierunku obranym przez przyszłą wielkość. Ledwie, że uszedł dwa kroki, stracił równowagę i bęc o ziemię, aż zadudniło. Nieborak zajęczał, potarł stłuczone ciało, odpoczął i znów się wspiął na rozciągniętą linę, prowadząc dalej zabawkę.

Pierwsza lekcya skończyła się paroma sążnistemi guzami i stłuczeniem kolana, co bynajmniej nie zniechęciło

go do dalszego kształcenia się w tym pięknym, jak mu się zdawało, zawodzie linoskoka.

Po upływie kilku dni potrafił już nieźle utrzymać równowagę, co go napawało dumą. Raz zdarzyło się, że gdy w najlepsze kroczył po linie, u wejścia do strychu ukazała się matka, a widząc jak ladaco pożytecznie czas spędza, dopadła do swego skarbu, ściągnęła go na podłogę i nuż łaźnię mu sprawiać, iżby odechciało mu się raz na zawsze kręcić karku. Niestety, należyte grzanie, jakie odczuł, wcale nie ochłodziło jego zapału.

Trudno bo walczyć z przebrzydłą naturą człeka, gdy raz czego skosztuje i upodoba sobie, nie wybierzesz mu łatwo z głowy, tak było i z małym debiutantem. Za mało mu było miejsca na obranym terenie, pożądał szerszego.

Nazajutrz po burzy, której gromy matczyne czuł jeszcze na swej skórze, skoro tylko zaświtało, chyłkiem udał się na górkę, odwiązał jeden koniec liny i przerzucił ją przez okno. Dodać należy, że tuż, obok domku wdowy, płynęła jedna z wązkich odnóg rzeki Muldy i na drugim brzegu tej odnogi rosło spore drzewo, w pobliżu zaś ciągnęła się droga dla pieszej i kołowej komunikacji.

Sowizdrzał, obawiając się przebudzić matkę, wyszedł po cichu z domu i zbliżył się do miejsca, gdzie zwieszała się lina, którą uchwycił za sam koniec. Przebrnąc z nią rzeczkę, wdrapać się na drzewo i przywiązać należycie do grubej gałęzi, było dla niego dziełem krótkiego czasu. Za chwilę Janek tańczył po linie jak zawodowy artysta.

Jak zwykle rankiem, sporo ludzi dążyło drogą do sąsiedniego miasteczka za zarobkiem. Skoro jeden tylko przechodzień zoczył powietrznego bohatera i stanął z podziwu, zebrało się w koło niego więcej gapiów, a po pewnym czasie zaległy tłumy, zachwycając się przedziwną pewnością spacerującego po linie, niby po ziemi, zuhowatego malca. Sypały się oklaski i wznoszono gromkie okrzyki na jego cześć za niezwykłą zręczność, wzbudzające w urwipółciu niewymowną radość, a na dowód, że

coś więcej umie, zaczął tańczyć tak pociesznie, iż wzbudził prawdziwą wesołość wśród owych gapiów.

Smutnie się jednak zakończył dlań ten wspaniały debiut publiczny. Wróg jego artystycznej kariery, z takim powodzeniem poczętej, czychał niedaleko, w osobie jego matki, którą obudziły krzyki rozentuzjasmowanej gromady.

Wyjrzała oknem i ze zgrozą zobaczyła zawieszoną linę i podrygującego na niej synala. Odznaczając się usposobieniem, skłonem do gniewu, narzuciła prędko na siebie zwierzchnie ubranie i, uzbroiwszy się w ostre narzędzie, coprędzej udała się na strych. Nie zastanawiając się wiele, jakie skutki wyniknąć mogą, w gwałtownym porywie odcięła linę.

Tłum zgłupiał, widząc naraz zerwaną podpórę młodziutkiego mistrza, a jego machającego kozły w powietrzu i następnie znikającego w nurtach rzeczki, by wkrótce wypłynąć na powierzchnię i dostać się do brzegu.

Zgromadzeni tymczasem, po pierwszym trwożnym wrażeniu, poczęli szydzić i wyśmiewać rezoluta za niefortunne zakończenie i nic dziwnego, iż ludziska częstokroć radują się z cudzego nieszczęścia.

Młodociany Sowizdrzał odczuł zniewagę wyrządzoną mu ze strony tłumu, bo o uszy jego obily się niezbyt przyjemne epitety, w słusznem też gniewie postanowił przy pierwszej sposobności zemścić się na niejednym osobniku, gdyż w czasie popisu zauważył i, znajome twarze. Widzowie powoli się rozeszli.

Chciał koniecznie sprawdzić co spowodowało zerwanie liny, gdy jednak miał przejść próg mieszkania, nagle przyskoczyła doń zaperzona matka i porwawszy go za kołnierz, sprawiła mu porządne cięgi, jako jedyne zbawcze lakerstwo od dalszych linoskocznych produkcji.

W ten sposób Sowizdrzał dociekł przyczyny katastrofy.

Złośliwość wszak ludzka, niema w sobie granic,
Zwali Janka mistrzem, potem mieli za nie.

Sowizdrzał szuka chleba.

Pomyliło się biedne matczyisko, wierząc w synowską poprawę. Mały szprync ani myślał wyrzec się zakazanego owocu. Odłożył tylko na później miłą rozrywkę, a starał się zmylić czujność życiodawczyni, zachowując się nieomal wzorowo przez pewien czas.

Matka obmyślała dlań jakąś pracę, lecz nie w polu, bo chłopiec, mimo nalegań i otrzymanych plag, jak to nieraz bywało jeszcze przed popisem nad wodą, ani myślał zajmować się na roli, chociażby w drobniejszych zatrudnieniach. Oddała więc go do szewca, okazało się niestety, że do rzemiosła tem mniej objawiał ochoty, bo w parę dni uciekł.

Krawcowi zdążył zrobić szkodę, iż ten wnet wyrzucił go za drzwi. Zaprowadziła go zatem do stolarza, ale i tu o mało nie wzniecił pożaru, na szczęście w zarodku ugaszonego. Przestraszony stolarz nie chciał trzymać szkodnika.

Martwiło ubogą wdowę, że doczekała się, miast pociechy, takiego nieponia, na którego trzeba pracować. Rozzłoszczona kazała mu pewnego dnia szukać chleba, aby się pozbyć darmożjada.

Ten rozumiejąc, że mu dała zwykle zlecenie o wystaranie się bochenka chleba, a nie o utrzymanie siebie własnymi zabiegami, przyrzekł zastosować się do jej woli i wybrał się po zdobycz, jak ongi argonauci po złote runo.

Idąc drogą do sąsiedniego miasta, rozmyślał nad sposobem pozyskania cennego artykułu spożywczego, nie mając w kieszeni ani centa.

W głowie zrodzonej do wytwarzania psich figlów nietrudno było ułożyć gotowy planik.

Z miną pewną siebie wkroczył na ulicę miasta i wkrótce zatrzymał się przed zasobnym sklepem piekarza. Wszedłszy śmiało, zwrócił się do otyłego właściciela w te słowa.

— Otrzymałem polecenie, aby łaskawy pan zechciał mi wydać dziesięć bochenków świeżego chleba. Niechaj ze mną uda się ten, oto pański chłopiec, do poblizkiego zajazdu, a tam mój pan wypłaci mu należność.

— Chętnie spełnię życzenie twego pana, który napewno pochwali mój wypiek. Jak widzę masz przygotowany worek, bierzmy się zatem do dzieła.

— Niech się pan nie trudzi—odparł mały figlarz—ja sam powybieram z półki i powkładam do worka. Poczem zdjął z półki jeden mały bocheneczek i umieścił na dnie worka, gdzie było już wcześniej umyślnie rozprute przez niego miejsce, dużemi zaś bochenkami wypełnił worek całkowicie.

Wziął wór na plecy i skłoniwszy się gracko zadowolonemu piekarzowi, wyszedł ze sklepu, a za nim chłopiec.

Aliści po kilkunastu minutach drogi, przechodząc obok błotnistej rowu, Sowizdrzał spostrzegłszy, że, dany mu do asysty towarzysz, odwrócił się na chwilę i przypatruje się czemuś z boku, potrząsnął należycie worek, a w tem mały ów bochenek wyleciał przygotowanym otworem i wpadł do rowu, pełnego cuchnącego błota. Tego mu tylko potrzeba było.

— Patrz mój drogi, co się stało—zawołał płaczliwie Sowizdrzał—pan mnie złaje za moje niedołęztwo, idź coprędzej do swego pryncypała i powiedz mu, że zwrócę stratę z wszelką pewnością, gdy tylko otrzymam zasługi, przypadające mi za parę dni. Więcej mi chodzi o wstyd, niżli o stratę. Spiesz się, ja tu tymczasem odpocznę, bom się okrutnie zmęczył.

I począł ocierać pot z czoła, którego prawie że nie było widać.

Chłopiec, któremu na imię było Franek, w naiwności ducha, nie podejrzewając fortelu, a współczując rozpaczy Janka, sam widział, że rady niema innej, jak tylko zastą-

pieć drugim bochenkiem, boć wydobyty z rowu cuchnął szkaradnie. Zawrócił do sklepu, zabrał świeży i przybiegł na miejsce wypadku.

Zdziwił się niepomierne, a zarazem przeraził, nie ujrzawszy śladu hultaja. Pobiegł w tę i ową stronę, lecz poszukiwania były próżne.

Opowiedział piekarzowi w jaki sposób stał się ofiarą mistyfikacji, lecz ten nie bacząc, iż sam przyczynił się do straty chleba, w gniewie wychłostał lamentującego Franka, co się zmieściło.

Tymczasem sprytny Sowizdrzał już był bardzo daleko, szybko zmykając na cienkich i wysokich nóżkach, krótko odpoczywając, bo mu napechany worek dawał się we znaki.

Ze zmierzchem przybył do domu i z tryumfem złożył u nóg matki wspaniałą zdobycz.

— Zkądżeś to hultaju wy dostał, powiedz mi zaraz? Zapytała zaciekawiona, a zarazem udobruchana babina.

— Kazaliście mi matulo szukać chleba, poszedłem gdzie oczy mnie poniosły; zmęczony drogą, spoczęłem na brzegu rzeki i oto nagle ujrzałem w pobliżu tonącego chłopca. Bez namysłu rzuciłem się na ratunek i wydobyłem go szczęśliwie na brzeg. Chciał się wykapać i trafił na głębię. Był to syn piekarza, który dowiedziawszy się o ocaleniu przezemnie syna, z wdzięcznością obdarował mnie temi oto bochenkami chleba, dawał mi pieniądze, lecz nie chciałem przyjąć.

Po tych słowach napuszył się jak indyk z dumy, że z taką godnością postąpił z piekarzem.

Rozczulona matka ucałowała nieponia w oba policzki i już nie tłumaczyła mu, jakiego to kazała mu szukać chleba.

Znane to przysłowie, że „jaki kraj taki obyczaj” to też w miejscowości zamieszkałej przez wdowę panowała od dawien dawna tradycja że zamożniejszy gospodarz, mając zabić wieprza, zmuszony był ufetować potem dzieci najbiedniejszych rodziców polewką wieprzową z kluskami; był to przysmak nielada i gdy dzieciom dano znać o cze-

kającej ją stypie, hurmem zlatywały się do wskazanego miejsca, niby zgłodniałe ptactwo.

Los w tym czasie przypadł na gospodarza znanego ze swego niezwykłego skąpstwa. Niepomny na uświęcony zwyczaj, pragnął koniecznie pozbyć się daniny raz na zawsze i pobudzić sąsiadów do jej skasowania.

Zabrał się do przygotowania onej polewki, która raczej miała smak pomyj, a kluski zrobił z gryczanej mąki, tak twarde, niby ciosane kołki.

Chwila pożądana dla biesiadników nadeszła, otoczyli stół, na którym postawione były dwie ogromne misy dyumiącej zupy. Dzieci, między którymi znajdował się Sowizdrzał, uzbroidy się w drewniane łyżki i nabrały polewki. Załedwie przelknęły, buzie ich mocno się wykrzywiły, klusek zaś w żaden sposób nie mogły zgryźć.

Skąpiec przypatrywał się z zadowoleniem na ich głupie miny i zapraszał do jedzenia, a które odmawiały nakłaniał zaraz batem.

Mimo to malcy nie chcieli jeść dalej, i z krzykiem uciekali to drzwiami lub oknem, byleby uniknąć razów.

Porządną porcję batów otrzymał też Sowizdrzał za to, że cisnął łyżkę o ziemię, aż pękła, co do pasji doprowadziło obrzydłego sknerę.

Postępkiem swoim, oburzył na siebie ów gospodarz całą wieścinę, a dzieci od tej pory bały się zbliżyć do jego domu, na wspomnienie doznanej gościnności.

Jeden tylko Sowizdrzał postanowił się zemścić na skąpcu przy lada okazji. Była to natura zawzięta i doznana krzywdę nie puszczała płazem.

Sowizdrzał spryciarz nielada,
W sidła jego piekarz wpada,
Franek zaś ciągi otrzymał,
Bo majster złości nie wstrzymał.
Ale trafił swój na swego,
Imć sknera razu pewnego,
Chcąc odwetować swe straty,
Tęgie Jankowi sprawił baty.

Z e m s t a.

Sowizdrzał zapragnął jaknajprędzej zemścić się na tych co go wyśmiali, gdy spadł z liny i na skąpcu za obicie; otóż jak się do tego zabrał.

W zaciekłości swej, niepomny kary matczynej, odważył się wczesnym rankiem rozciągnąć linę i przywiązał ją do owego drzewa nad rzeczka i nuż skakać po niej, jak opętaniec.

Wkrótce zebrała się czereda żadna wrażeń, wśród której przeważna część uczestniczyła na pierwszym widowisku, a nie brakowało również młodych chłopaków, którzy najwięcej się z niego naówczas naigrawali.

Sowizdrzał zeszedł z liny i wlaź na dach strychu, ażeby odpocząć, zapowiedziałwszy gawiedzi, że nastąpi bardzo ciekawy i nadzwyczajny numer jego programu.

Zainteresowanie było ogólne, ten i ów, choć mu się spieszyło do zajęcia, chciał koniecznie ujrzyć to coś niezwykłego.

Po upływie kilku minut zeszedł Sowizdrzał ze swego posterunku i zbliżył się z poważną miną, o ile mu dwunastoletni okres jego wieku na to pozwalał, poczem do zebranego tłumu zawołał:

— Hej! mili panowie, widzicie w moim ręku ten długi oto sznurek, chcąc zaś wam pokazać sztukę, jakiej w życiu swoim jeszcze nie widzieliście, potrzebuję mieć czapki, spoczywające obecnie na szlachetnych waszych głowach, dacie mi je. więc do rąk, a ja nawlokę na sznurek, po skończeniu zaś przedstawienia zwrócę wam nieuszkodzone.

Na owe czasy męzkie nakrycia głowy miały na wierzchu mały otwór, jakgdyby dla wentylacyi.

Chętnych znalazło się sporo, ale Sowizdrzał przyjmował tylko od tych, na których miał chrapkę. Gdy ukończył nawlekanie, w czym mu i inni dopomogli, ujął koniec sznurka, wdrapał się po drzewie na linę, przyciągnął do siebie stos czapek i w pośrodku liny przywiązał zdobycz, która majestatycznie bujała się nad wodą.

Gapie wygałuszyli oczy, oczekując z zapartym oddechem, jaką to rolę miały odegrać ich czapki, w tej tak ważnej chwili. Tymczasem Sowizdrzał po kilku wstępnych skokach, nagle usiadł na linie, wy dobył mały nóż z kieszeni, przyciągnął ciężar do siebie i w kilku miejscach rozciął sznurek, a wnet czapki, niby wyzute korale, poczęły spadać w wodę.

Nim się tłum zorientował, figlarz uciekł po linie na strych i okienkiem przyglądał się, jaki skutek odniesie jego udatny podstęp.

Wśród gawiedzi wszczął się tumult nie do opisania. Rzucano się do wody w poszukiwaniu swej czapki, ten i ów wydierał drugiemu, biorąc za swoją. Woda w tem miejscu sięgała mniej więcej do pasa. Wymyślano sobie wzajemnie, a nawet posypały się gradem kułaki, boć forma i kolor niejednych czapek była podobna do siebie. Nakrycia niektórych woda uniosła dosyć daleko, iż niejednen bezgłowy musiał szparko płynąć, ażeby uchwycić... za nie swoją czapkę.

Po wyłowieniu wszystkich powrócono na brzeg, lecz po to, by znów rozpocząć sprzeczkę i bójkę. Trudno naliczyć, ile było guzów i sińców. W rezultacie okazało się, że kilku chłopcom zginęły czapki, ku wielkiej ich rozpaczy. Poprzysięgli odwet podtemu akrobacie, który ich tak haniebnie wystrychnął na dudków i na zimną kąpiel.

Sowizdrzał przez cały czas tej hecy, przypatrując się ze swego obserwatorjum, śmiał się do rozpuku. Lepiej nie mógł sobie dogodzić. Przez jakiś czas nie wychodził z domu, obawiając się napaści, szczególnież ze strony tych, którzy potracili czapki.

Matka, dowiedziawszy się o awanturze, dała za wygraną, gdyż przekonała się, że wszelkie strofowania na nie się nie zdadzą, tymbardziej, że nie miała siły pasować się

z hultajem, jakby piskorzem z pod rąk się jej wymykającym.

Przyszła kolej i na sknerę, nie nie przeczuwającego, że Sowizdrzał zagiął nań parol. Gdy udał się rankiem do sąsiedniej wsi za interesem, Janek podkradł się do jego domu.

Na obszernem podwórzu spacerowały kury i kaczki. Cisza panowała do około. Sowizdrzał zręcznie zapędził ptactwo do niewielkiego ogródka, przylegającego do chałupy, ażeby łatwiej je połapać, co gdy uskutecznił, związał kury wszystkie razem, a kaczki powrzucał do studni.

Mając przygotowane skórki zeschłego chleba, rzucił na pokarm kurom, do każdego z osobna kawałka przywiązawszy sznurek.

Ptactwo chciwie się rzuciło na chleb, mimo skrępowania. Przełknąć jednak skórek nie mogły, bo sznurek zawadzał.

Sowizdrzał widząc, że kury poczęły się dławić, czmychnął coperędzej po za obręb domostwa.

Na drodze spotkał powracającego skąpca; ten spostrzegłszy urwipółcia, a nie nie podejrzewając, rzekł szydereczo:

— I cóż, smarkaczu, smakowała ci polewka? Zapewne tak doskonałej chyba w życiu nie spożywałaś, jak zabiję następnego wieprzaczka, to cię napewno zaproszę.

— Nie głupim korzystać z waszej gościnności, żeby mnie ten sam los spotkał. co wasze kury, które widziałem przed chwilą czemś się dławiące.

— Co bredzisz gałganie! — zawołał przestraszony gospodarz.

— Idźcie prędko do swego ogródka, a przekonacie się o prawdzie słów moich. Zdaje się, że nie mogą przełknąć tych klusek, coście to nas na uczcie raczyli. Powiem wam jeszcze, że widziałem również w studni pływające kaczki, czyżby kiej djabeł je tam powrzucał.

I śmiejąc się na cały głos, począł zmykać, aż się za nim kurzyło.

Skąpiec, ile mu sił starczyło, pobiegł do domu. Naprzód usłyszał wrzask kacząt, wydobyte których zostawił

na później. Wpadł do ogródka, tu ujrzał szamoczące się kury i zwieszające się z ich dziobów sznurki, które natychmiast powyciągał z kawałkami chleba.

Z kilkunastu kur, pięć już zdechło, reszta dała się uratować, dzięki wczesnemu jego przybyciu, gdyż zastał we wsi kuma.

Dużo się natrudził, zanim wy dostał kaczkę, protestując wrzaskiem, iż je wpakowano do tak niezwykłej sadzawki.

Rozgniewany skąpiec przeklinał w pień nieponia, wygrażając pięścią w stronę drogi, którą zemknął Sowizdrzał.

Z takim ladaco niema co zaczynać, pomyślał sobie w duchu poszkodowany. I cóż mi z tego, że pomszczę się na nim, kiedy on mi gotów nową stratę wyrządzić, a matka jego jest nazbyt biedną, aby mi mogła zwrócić koszta, puścić lepiej to zajście w niepamięć.

I stale unikał skąpiec spotkania się z figlarzem.

Niecy Sowizdrzał, po dwakroć razy
Zemstę zgotował, jak od zarazy
Morowej, tak przed nim stroniono;
Odtąd już więcej zeń nie szydzono.

Sowizdrzał na wędrówce.

Sowizdrzał, jak na swój wiek młodociany, był dobrze zbudowany i odznaczał się niezłą siłą oraz zdrowiem. Niechcąc wygrzewać u matki kąta i być nadal darmożjadem, a nie spodziewając się nic dobrego od mieszkańców, gdyż żaden z gospodarzy nie chciał przyjąć złośliwego figlarza do jakiegokolwiek posługi, wybrał się w daleką wędrówkę.

Matka zaopatrzyła go w prowiant i pobłogosławiła na drogę.

Przez parę dni wałęsał się po rozmaitych wertepach, nocując w lesie, to znów w zapadłej jakiejś wsi u biednego gospodarza, który zmęczonego podróżnika przyjął chętnie pod swój dach, uraczywszy go na odchodnym sporym garnuszkiem mleka.

Nareszcie trzeciego dnia natrafił na bogatą wieś w biskupstwie Misnii.

Chodził od jednej chałupy do drugiej, prosząc o miejsce parobka; ten i ów wymawiał się brakiem roboty; poradzono mu udać się na plebanję, bo podobno proboszcz potrzebuje do posługi.

Jakoż rada była dobra.

Pocziwy ksiądz, ujrawszy dziarskiego chłopaka, pokornie mu się z proga kłaniającego, korzystnie powziął o nim mniemanie, ani się domyślając, jakiego ma przed sobą nieponia.

— Co cię tu sprowadza, mój kochanku? — zapytał kapłan życzliwie.

— Przyszedłem prosić księdza proboszcza o przyjęcie mnie do posług domowych, chcę pracować, a nie darmo u ludzi chleb jadać.

— Dobrze mówisz chłopcze, czyń tak zawsze, a Bóg ci dopomoże. Potrzebuje rzeczywiście pomocy moja gospodyni, jej więc służyć będziesz; napitku i j. dła u nas nie zabraknie, bylebyś na pół spełniał to, co ona ci każe.

— Zastosuję się wiernie do życzenia księdza proboszcza, pewny jestem, że gospodyni będzie ze mnie zadowolona.

Sowizdrzał czuł się jak u siebie w domu; w ciągu paru dni umiał zjednać sobie łaski gospodyni, która miała nader krótki wzrok, co nie przeszkadzało jej znać się doskonale na kuchni.

W kilka dni zarzęła dwa kureczaki i po ich oporządzeniu nadziała na rożen, który kazała Sowizdrzałowi obracać, a sama wyszła na podwórze.

Sowizdrzał przejął się tak swoją rolą nadzorcy, iż kureczaki znakomicie się upiekły, a tak apetyczny miały wygląd, że aż ślinka szła do ust.

Pomny na słowa, wyrzeczone przez księdza o zała-

twianiu czynności do połowy i że będzie jadał takie delicje, jakie spożywa ksiądz i gospodyni, co mu było już powiedzianem. Tak więc te oto kurczęta ma również spożywać razem, jakże miłą będzie ta chwila, gdy gospodyni wydzieli mu należny kąsek. Teraz jednak uczuł w sobie dziwny popęd do samodzielnego działania, gdyż biorąc pod uwagę dosłowne znaczenie wyrazu „połowa“ wyrzeczonego przez księdza, przyszedł po rozum do głowy, iż ma prawo rozporządzić tak z pachnącym drobiem, bo jak dzielić dwa kurczaki między trzy osoby. Myśl zamienił w czyn i po kilku minutach z jednego kurczaka zostały tylko kosteczki.

„Smaczny, bo smaczny — rzekł do siebie — gdyby nie obowiązek, jaki na mnie nałożył mój proboszcz, chętniebym sprzątnął i tego drugiego. a gdyby mnie zapytała miła gosposia, co się z niemi stało, zwałibyśmy na psa podwórzowego, który się tu przed chwilą oczywiście wałęsał. Cóż byłoby w tem nieprawdziwego, żem wyszedł na moment z kuchni, a szelma pies porwał kurczaki, jak się patrzy.

Jednakże tego nie zrobię, bo honor mój na to nie pozwala, wszak należy mi ściśle się stosować do słów jego mości, zostawmy więc drugą połowę nietkniętą“.

Rozmyślania jego przerwała wchodząca gospodyni. Widząc osieroczonego kuraka, ze złością doskoczyła do Sowizdrzała, który z niewinną miną rzekł do niej.

— Nie dziwię się co czynicie, wszak jejmość ma tak krótki wzrok, że nie możesz dojrzeć drugiego kurczaka.

— A ty smyku, jeszcze śmiesz ze mnie robić drwiny, poczekaj zadam ci ja bobu.

I czerwona, jak burak, pobiegła ze skargą do księdza. Ten przybył do kuchni i w ostrych słowach zganiał Sowizdrzała, a w szczególności za obrażające zachowanie się względem zacnej gospodyni.

— Wybaczysz ksiądz proboszcz — rzekł figlarz — czy rzeczywiście zasłużyłem na wymówki, skoro powiedziałem prawdę o krótkim wzroku, na co tylu ludzi cierpi, i żaden z nich by się na pewno nie obraził, gdybym mu na to

zwrócił uwagę, a co znów, że jeden tylko kurczak tkwi na tym tu rożnie, to dla tego, żem akuratnie wypełnił wolę księdza jegomości, co to godząc mnie do służby, kazał wszystko robić do połowy. W czym więc zawiniłem?

Na poważnej twarzy proboszcza zajaśniał przelotny uśmiech. Po chwili rzekł do Sowizdrzała:

— Zanotuj to sobie dobrze w pamięci, ażebyś na przyszłość nie naraził się niczem gospodyni, spełniając jej wolę co do joty, a także wystrzegaj się brzydkiej wady łakomstwa.

Poczem wyszedł, a Sowizdrzał kontent, że tak gładko poszła sprawa, szukał okazji robienia gospodyni na złość.

Gdy mu kazała zamieść pokój, on to zrobił do połowy; zamiast sześciu wiązek drzewa — przynosił trzy; zleciła mu dostarczyć garniec kartofli z piwnicy, on przynosił pół i tak we wszystkim. Gospodyni nie mogąc z nim wytrzymać, znów poskarżyła się księdzu. Kaza więc zawałać Sowizdrzała.

— Mój kochasiu, kiepsko się sprawujesz, skoro gospodyni moja, osoba bardzo łagodna i cierpliwa nie może z tobą nic poradzić. Podobno wszystko, co ci każe, robisz do połowy.

— Święta prawda — odparł spokojnie Sowizdrzał — spełniam swój obowiązek, jak mi sumienie nakazuje, to jest według życzenia księdza jegomości że: „będziesz miał napitku i jadła do syta, bylebyś wszystko na pół robił”.

Proboszcz nie mógł tym razem powstrzymać się od śmiechu, podziwiając zarazem roztropność i śmiałość Sowizdrzała, do którego też poczuł sympatję. Gospodyni jednak zagięła nań parol i dopóty go prześladowała, aż zmusiła do rejterowania ze służby.

Ksiądz nie chcąc, aby bąki zbijał, przeznaczył go do obsługi kościelnej, tusząc nadzieję, że chłopiec pozbędzie się złośliwych conceptów.

Jak z kim ale nie z Sowizdrzałem można było dojsć do ładu. Nie miał nigdy ochoty do stałego zajęcia, które wymagało jednych i tych samych godzin w czasie dnia.

Ledwie przebył pół roku, podziękował księdzu za służbę i poszedł szukać chleba gdzieindziej. Parę lat wędrował z miejsca na miejsce ze zmiennem szczęściem, aż przybył do miasta Planen, gdzie ogłosił siebie, jako jednego z naj-sławniejszych znachorów, cuda czyniącego. Wiedząc, że naiwnych mu nigdy nie zabraknie, nie długo czekał na skutek swych zamierzeń.

Nazajutrz po przybyciu do miasta, zjawił się u niego dyrektor szpitala, prosząc, by pomógł mu szybko wyleczyć pacjentów, gdyż chciałby zrobić miejsce dla drugich, oczekujących od paru dni pomocy szpitalnej.

— Jestem gotów zadosyćuczynić co żądacie, jeżeli otrzymam 200 talarów.

— Ależ i owszem, dam w tej chwili czwartą część zadatku.

— Dobrze, zatem jutro do wieczora szpital będzie wypróżniony.

Jakoż w tym dniu z rana przyszedł Sowizdrzał do szpitala i zastrzegł sobie, by nikt mu nie towarzyszył, gdyż on sam chce wybadać pacjentów.

Obchodził więc chorych, każdego wypytujac się, co mu głównie dolega, kiwał poważnie głową, pocierał sobie czoło, jak gdyby zastanawiając się nad rozwojem choroby.

Dziwiono się, że tak młody doktor, a raczej znachor, już tyle wiedzy i pewności siebie posiada, iż zobowiązał się ich wszystkich wyleczyć, jak fama głosiła.

Sowizdrzał na odchodnym zwrócił się do chorych w te słowa:

— Pilnie zważajcie co wam powiem: mam sposób natchmiastowego wyleczenia was, lecz koniecznie musi się jeden z was poświęcić i to taki, który jest już wprost nie-użytecznym dla świata, bo szkoda byłoby go uzdrowić, żeby drugim tylko zawadzał. Potrzebny mi jest ów jego-mość, mówiąc wyraźniej, największy wśród was niedołęga, którego spalę, by mieć proszek z jego kości. Zaprawię go sekretnym płynem i dam reszcie do wypicia, a wówczas nabierzecie odrazu sił i zdrowia. Jutro więc z rana przyjdę tutaj, stanę na wzniesieniu i rozejrzę się po was wszyst-

kich, aby uczynić odpowiedni wybór. Jeżeli ktokolwiek z chorych ukryje się z obawy, to niech będzie pewny, że go znajdę, chociażby w mysiej jamie. Komu życie miłe niech pilnuje rannej godziny.

Odszedł z założonemi w tył rękoma, nadęty niby paw aki.

Wśród chorych zrobiło się niemałe zamieszanie, gdyż żaden z nich niechciał zaliczać się do zupełnych niedołęgów, a tem samem stać się ofiarą dla wszystkich. Każdy z osobna przemyślał, jak uniknąć wiszącej groźby, wyszło bowiem na to, że nikt nie był pewny życia.

Jeden przed drugim nie chciał się zwierzyć, co uczyni w tak ważnej chwili, gdy cudotwórca zjawi się na arenie szpitalnej. Każdy jednak miał przygotowany plan.

Jakoż, gdy Sowizdrzał w towarzystwie dyrektora zjawił się nazajutrz o dziewiątej rano w wielkiej sali, nie zdołał jeszcze słowa wymówić, a tylko wznosił rękę, gdy nagle wszyscy chorzy, jak jeden mąż, zerwali się z łóżek i nuż chyżo dążyć do drzwi wejściowych, umyślnie przez Sowizdrzała otwartych, to na czworakach, to kulejąc, lub wzajemnie pomagając sobie, byleby wydostać się na otwarte miejsce.

Dziwili się niezmiernie przechodnie tej niezwyklej maskaradzie, sądząc, że w szpitalu powstał zapewne pożar, który zmusił biedaków do opuszczenia jego murów.

Więcej był zdumiony dyrektor i przybyła służba czarodziejskiemu wpływowi tajemniczego człowieka, który, jednym kiwnięciem palca, osiągnął nieoczekiwany skutek.

Wypłacił mu natychmiast resztę należności i nie miał słów na podziękowanie za tak cudowne wyleczenie.

Sowizdrzał w obawie, iżby nie wydała się cała blaga, tegoż dnia uciekł z miasta, aby już więcej tu nie wrócić.

Miał dobry nos, gdyż rada miejska, po bliższem rozpatrzeniu przyczyny ucieczki chorych ze szpitala, o czem jej doniesiono, przysłała do wniosku, że tak dyrektor jak i chorzy, zostali wzięci na kawał, to też rada kazała rozlepić ogłoszenia po rogach ulic, w celu schwymania wino-

wajcy, niestety, będącego już za górami i lasami, dzięki długim nogom.

I gospodyni dał się we znaki,
Gniew w niej wzbudzając o cne kuraki;
Lecz więcej jeszcze chorym dokuczył,
Gdy na czworaka chodzić ich uczył.
No i zarządcę wziął też na lapę,
Na sromotną wystawiając gapę.

* * *

Jadł więc i pił u księdza co się tylko dało
Gdzieindziej zaś talarów wyłudził niemało.

U piekarza.

Gdy Sowizdrzał przehulał już wszystkie pieniądze, jakie miał, a sposobności do tego nie brakło, zważywszy na to, że nie sam hulał, ale z przyjaciółmi tego samego pokroju, co on, zmuszony był znowu wziąć się do pracy. W tym celu poszedł do Fryburga i dostał miejsce u piekarza. Sowizdrzał, choć z natury sprytny, w pieczeniu bułek nie był bardzo pojętny. To nolał za dużo wody do ciasta, czyniąc go rzadkiem, to znowu za długo trzymał w piecu, aż pieczywo uległo spaleniu. Dużo było takich szkód, za które szturchańców właściciel piekarni mu nie szczędził. Wreszcie tyle się nauczył, że mógł piekarz na nim polegać. Jednego dnia rzekł do niego.

— Ponieważ wypadł mi ważny interes i muszę wyjechać do domu na cały dzień, przeto musisz sam zająć się pieczeniem, tylko uważaj, żeby wszystko było dobrze zrobione i upieczone; nie leń się, a zato otrzymasz większą zapłatę.

— Dobrze—odrzekł Sowizdrzał—ale co mam upiec?

— Takich samych durniów, jak sam jesteś—odrzekł zirytowany piekarz, poczem odjechał.

Sowizdrzał filuternie się uśmiechnął, poszedł do piekarni, z przejęciem pracując. Gdy miał już ciasto go-

towe, przystąpił do robienia bułek, lecz zamiast zwykłych, wychodziły z pod jego palców najrozmaitsze dziwolągi, były tam: pokrzywione stare baby, śmiejące się dzieci, z wykrzywioną miną łobuziaki, żołnierze z pikami, zwierzęta i ptaki, lecz że Sowizdrzał tego dobrze nie potrafił, pociesznie to wszystko wyglądało.

Skoro piekarz powrócił wieczorem do domu, najpierw udał się do piekarni, aby zobaczyć jak sprawił się Sowizdrzał. Oburzenie jego i gniew nie miało granic, gdy zobaczył jego robotę.

— Ach ty nicponiu, gałganie!—wrzasnął piekarz—coś mi narobił?

— Przecież przykazaliście mi piec durniów—odrzekł z głupia frant Sowizdrzał.

— Wynos mi się natychmiast!—nie posiadając się z gniewu krzyczał piekarz.—Ale pierwszej zapłać mi za mąkę i opał, któryś mi niepotrzebnie spalił.

Sowizdrzał, nie targując się, zapłacił żądane pieniądze.

— A teraz wynos mi się i niech cię więcej moje oczy nie widzą, ty obwiesiu.

Sowizdrzał zabrał w kosz wszystkie bułki przez siebie zrobione, i pożegnał swego gospodarza.

Nazajutrz rankiem stanął w najwidoczniejszym miejscu na rynku i w niebogłosy począł zachwalać swoje pieczywo, a że był to dzień targowy, masa gapiów zebrała się przy jego straganie, podziwiając pierwszy raz widziane arcydzieła wyrobu piekarskiego. Gapie ci zwabili kupujących, którzy w krótkim czasie, nie targując się nawet, rozkupili towar. Rozgłos o takiej nowości obiegł całe miasto i doszedł do uszu piekarza. Dowiedziawszy się o powodzeniu Sowizdrzala, które notabene osiągnął z pieczywa jego, zatrząsł się z gniewu, i jak bomba pobiegł na rynek, chcąc wymódcz na nim, aby mu zwrócił część zarobku. Lecz ten przeczuwał że tak będzie, to też, zoczywszy zdaleka pędzącego ku niemu piekarza, ile, że wszystkie bułki miał już sprzedane, czmychnął i gdy przybiegł piekarz, po Sowizdrzale nie było już dymu, ni popiołu.

*

Sowizdrzał po tak dobrym zarobku bawił się znowu jakiś czas, unikając pracy, lecz wyszastał wprędce wszystko i do tego stopnia, że nawet musiał się wyzbyć palta. Zima była mroźna bardzo. Tego dnia, kiedy przybył Sowizdrzał do Radeburga, mróz był tak ciężki, że ledwie mógł dojść do miasta. Zdrożony i zziębnięty pukał na próżno do mieszkańców, prosząc o przytułek, a nawet tylko o to, by mu pozwolili rozgrzać się przy ogniu. Niegościnni ci ludzie nie chcieli nigdzie wpuścić go do izby.

Wtedy wziął się na sposób.

Zaczął biedz jak szalony przez ulice miasta, przybrał przerażoną minę i krzyczał:

— Pali się! pali się!

A głos jego był tak przeraźliwy, że wszyscy mieszkańcy miasta ze strachem powybiegali z domów i gonili za Sowizdrzałem, by się dowiedzieć, gdzie się pali i co się pali.

Ten stanął wreszcie, a spostrzegłszy tłum za sobą, począł się śmiać i rzekł.

— Pytacie gdzie się pali, wszędzie u każdego z was w kominie się pali, bo zima dokucza. Ponieważ zaś ja nie mam gdzie się ogrzać, bom pielgrzym, a wy niegościnni nie chcecie mi udzielić ciepłej izby, przeto biegłem i krzyczałem, aby choć w ten sposób się zagrzać. Lautenburczycy jedni gniewali się za taki żart na Sowizdrzała, inni się śmiali i w końcu znalazły się dobre dusze, które zabrały go do swej izby, aby się ogrzać i odpoczął, a nawet darowali mu palto, aby miał w czem ciepłem wyjść na świat.

Okpiwa Sowizdrzał ludzi bez miary,
Niejeden z podziwu nie dałby wiary,
Jak zręcznie z każdej wymyka się matni
To charakteru rys jego dodatni,
A choć mu wszystko uchodzi bezkarnie
To i tak on zginie pod płotem marnie.

W r ó ż b i t a.

Choć Sowizdrzał przez kilka dni korzystał z gościnności dobrych mieszczan, ale dokuczał mu brak pieniędzy. Aby je zdobyć, wpadł na nowy pomysł. Oto zaczął udawać wróżbitę, przepowiadający przyszłość. A z taką uroczystością i powagą, z takim namaszczeniem a zarazem pewnością siebie zabierał się do tych przepowiedni, tak, że naiwni mieszczanie wierzyli mu święcie, a nawet okrzyczeli jako najsłynniejszego wróżbitę.

Doszło to do uszu pewnego bogatego, a bardzo chciwego gospodarza, który spodziewał się rychłej śmierci swego wuja, mając nadzieję odziedziczyć po nim spadek. Chciał się więc dowiedzieć, jak prędko to nastąpi.

Wezwał więc do siebie Sowizdrzała i zapytał go:

— Co chcesz to ci dam, tylko przepowiedz mi przyszłość.

— Dajcie mi gościnę w swoim domu przez 14 dni, pożywienie i 15 talarów.

— Dobrze — odrzekł gospodarz — ale pamiętaj, żebyś mi prawdę przepowiedział.

Gdy gościna Sowizdrzała już się kończyła, rzekł on do gospodarza:

— Rychło osiągniecie wielkie szczęście i radość, gospodarzu. Możecie się cieszyć i weselić.

Gospodarz uradowany pobiegł w podskokach do żony, aby podzielić się przyjemną nowiną. Wtem potknął się o jakiś stojący na drodze przedmiot i padł tak nieszczęśliwie, że złamał lewą rękę.

Zaczął wymyślać Sowizdrzałowi, zarzucając mu oszukaństwo.

A Janek odrzekł:

— Ależ gospodarzu, czyż to nie jest jeszcze wielkie szczęście w tem nieszczęściu? Przecież, gdybyście prawą

rękę lub obie nogi złamali, byłoby gorzej, bo byście niezdolni byli do pracy, a tak lewa ręka się zagoi i choć trochę zniedołężnieje, jednak będzie mogła pomagać prawej.

Wściekły gospodarz, za te słowa pociechy, wyrzucił go za drzwi.

Łgarstwo i błaga często w parze chodzi,
Sowizdrzałowi to zawsze dogodzi
I choć się ludzie na nim poznają,
Chętnie i drugim ucha nadstawiają.
Boć na tym świecie głupich nie brakuje,
Nie jeden Sowizdrzał ich oszukuje.

Sowizdrzał u księcia.

I znowu Okpiświat został się bez dachu nad głową. Sława jego, jako wróżbity, upadła po tak niefortunnej przepowiedni u gospodarza. Więcej wróżb jego niepożąдали, a co gorsza, gdy i innym się jego wróżby nie sprawdzały, uznali go za oszusta i musiał z miasta uchościć, gdyż powszechne było nań oburzenie.

Powędrował więc do pewnego udzielnego księcia, gdzie spodziewał się na dworze jego otrzymać posadę trefnisią. W tym celu po drodze odpowiednio się przybrał w pstre ubranie, obwiesił się dzwoneczkami, na głowie miał białą spiczastą czapkę, również z dzwoneczkami.

Tak sobie obiecywał, tak się też i stało. Księżciu się spodobał dla owej żywości i d wciupu. Na jego dworze przebywał długo i dobrze mu się tam działo, lecz następujący figiel pozbawił go miejsca.

Pewnego dnia, a było to latem, książę spacerował sobie po ogrodzie i znalazł niebywalej wielkości truskawkę, chcąc pokazać żonie, nakrył ją czapką, i udał się do pałacu.

Zobaczył to zdaleka Sowizdrzał, a będąc jak wiadomo, wielkim urwisem, przyskoczył do miejsca, gdzie leżała

czapka, podniósł ją, truskawkę zjadł, a na jej miejsce położył grudkę leżącego w pobliżu nawozu końskiego.

Książę tymczasem przyprowadził księżną panią i z tryumfem podnosi czapkę, by pokazać okaz, lecz w miejsce tego, ze zdumieniem, zobaczył nawóz.

Księżna z początku rozgniewała się na księcia, sądząc, że chciał z niej sobie zażartować, widząc jednak pomieszanie na jego twarzy, serdecznie się uśmieła.

Książę odrazu domyślił się, kto taki figiel mógł uczynić, przecież nikt inny tylko Sowizdrzał. Lecz nie zwykł był tak wielki pan pozwalać na podobne żarty.

Nie chcąc sprawcę widzieć na oczy, rozkazał mu natychmiast ztąd wynosić się, żeby w przeciągu 24 godzin stopa jego nie dotykała jego posiadłości.

Sowizdrzał, nie czekając na coś gorszego, zabrał manatki pod pachę i poszedł. Lecz kraj ten był tak piękny, tak mu tam dobrze było, przytem pieniędzy miał dosyć, wyłudziwszy je w rozmaitym czasie od dobrego księcia, pracować mu się nie chciało, postanowił więc pozostać w kraju, unikając spotkania z owym panem.

Że jednak spotkanie z księciem mogło kiedykolwiek nastąpić, przeto wziął się na taki podstęp.

Poszedł do pewnego gospodarza, który miał kawał swego własnego gruntu i prosił go, by mu sprzedał kilka garncy ziemi.

— A do czego to przyjacielu potrzeba wam tyle ziemi, czy jesteście ogrodnikiem?

— Nie jestem nim, ale chcę mieć swój własny grunt, na którym by mi nikt nie zabronił siedzieć.

Gospodarz zdziwiony spojrział nań, sądząc, że z warjatem ma do czynienia, lecz że Sowizdrzał dał za ziemię ile gospodarz zażądał, nie targując się z nim wcale, wrzucił tylko ramionami i nic nie odrzekł.

Janek naładował worek i rzekł:

Niech poleży ta ziemia u was gospodarzu, bo muszę iść po taczki, żeby ją przewieźć.

Poszedł więc do stolarza, kupił kilka desek i z pomocą jego zbudował spore taczki na kółkach, które się łatwo obracały.

Następnie pojechał po ziemię, wyspał w taczki, siadł na niej, a sękatym kijem podpierając się, jechał sobie z miejsca na miejsce.

Zdarzyło się, że pewnego razu spotkał księcia z orszakiem. Ten gdy go zoczył, zawołał gniewnie!

— Jeszcześ tu! Czyż nie kazałem ci się wynosić z moich posiadłości?

— Jaśnie oświecony księżę, wszak jestem na swoim gruncie.

— Jakto, obieżyświecie?

— Ano siedzę na swojej ziemi, którą kupiłem za swoje własne pieniądze.

Z temi słowy wstał i wskazał na ziemię w taczkach.

Udobruchany księżę, rzekł:

Tym razem daruję ci, ale jeśli jeszcze raz spotkam cię w któremkolwiek miejscu mojego kraju, głowa twoja będzie w niebezpieczeństwie.

Usłyszawszy to Sowizdrzał nisko się skłonił i przedko zawrócił z drogi.

I wraz się książe śmieje i gniewa,
Nad dowieipem się jego zdumiewa,
A gdy się uczuł być pokrzywdzonym,
Został Sowizdrzał wnet pogodzonym,
Myślał, że księcia jesze oskubie
Lecz, jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie.

Sowizdrzał smakoszem.

Niedługo Sowizdrzał pozostawał w kraju księżęcym, gdyż po powtórnej groźbie księcia, naprawdę począł obawiać się jej skutków.

Musiał nawet udać się gdzieindziej, gdyż zapasy pieniężne już się kończyły, a tu trudno było o zarobek.

Udał się więc w drogę, która go zaprowadziła do miasta Kenigsbergu. Znalazłszy się tam, przedewszystkiem pomyślał o pustym żołądku. Przez całą drogę bowiem

skąpił sobie w jedzeniu, obawiając się wydać wszystkie pieniądze.

Wszedł więc do pewnej gospody. Za bufetem stał gospodarz o wesołej, jowialnej twarzy. Spostrzegłszy obcego gościa, wyskoczył fertycznie z za szynkwasu i grzecznie zapraszał za stół.

Sowizdrzał siadł i spytał:

— Cóż tam macie, gospodarzu, smacznego do zjedzenia i wypicia?

— Są różne rzeczy—odrzekł gospodarz: — smakołyki dla bogatych panów i uczciwe, skromniejsze jedzenia dla tych, co mniej mają w kieszeni. Moja oberża zaopatrzona jest we wszystko—dodał z dumą—czemże mam służyć panu?

— Ano co macie najdroższego i zarazem najlepszego mój gospodarzu.

Chcę poznać wasze frykasy, abym mógł o dobroci ich głosić przed ludźmi, a tym sposobem osławić waszą gospodę. Tylko dużo różnych rzeczy dajcie, abym o niej mógł powiedzieć.

Gospodarz nie podejrzewając podstępu, zastawił przed Sowizdrzałem cały stół najlepszego jedzenia, jakie jego gospoda posiadała.

Jan najadł się i napił tak, że ledwie dyszał.

— No, gospodarzu, sławne macie jedzenie. Niech wam Bóg da zdrowie, żeście głodnego nakarmili. A teraz żegnajcie, bo mi pilno w drogę.

To mówiąc, Sowizdrzał zmierzał ku drzwiom.

— A zapłata? — zawołał przestraszony gospodarz.

— Jakto, zapłata? — odrzekł. Jeśli kto komu, to już chyba wy mnie powinniście dopłacić za to, że będę waszą gospodę wysławiał pod niebiesy przed wszystkimi podróżnymi, jakich napotkam po drodze, zmierzającymi do tego miasta.

Gospodarz dopiero teraz spostrzegłszy się na figlu, zawołał:

— Dobry żart, tynfa wart. Niech już tak będzie, ale to tylko raz wam się udało, na drugi raz, nauczony doświadczeniem, nie dam się złapać na plewy takim mydł-dkom.

Co raz to nowy tworzył kawał
I choć niejeden nań nastawał,
Mimo to puszczał w końcu płazem,
Widząc w tem winę swą zarazem.
Sowizdrzał śmiał się w kułak potem,
Że niepotrzebował płacić złotem.

Sowizdrzał u krawca.

Stamtąd udał się Sowizdrzał do Wiednia.

Oczywiście zbytecznem jest dodawać, że ani mu w głowie było opowiadać spotkanym ludziom o gospodzie. Spieszył się bardzo, bo pieniądze się zupełnie wyczerpały, a żarty tego rodzaju, co w gospodzie, mogły go zapoznać z kożą, musiał więc starać się o pracę.

W Wiedniu dostał miejsce u krawca.

Ten pokazawszy mu jak i co trzeba szyć, rzekł:

— Pamiętaj, mój przyjacielu. szyć porządnie, mocno i ściśle, żeby nie było widać.

— Dobrze, — odparł Sowizdrzał, zabrał swoją robotę i idzie ku drzwiom. — A czy piwnica otwarta?

— Na cóż ci piwnica? — pyta zdumiony krawiec.

— Chcę tam iść, bo mam tak szyć, żeby nie było widać.

— Ot głupi — zawołał śmiejąc się krawiec — szyj tak, żeby ściągów nie było znać. przecież po ciemku nic nie uszyjesz. Siądź tu przy mnie, to ci pokażę.

Innym razem krawiec wykończył jakiś surdut, a że miał pilny interes do załatwienia na mieście, rzekł do Sowizdrzała.

— Mam interes, muszę wyjść na miasto, weź i wykończ tego barana, tylko żeby było dobrze, pamiętaj.

Sowizdrzał, po wyjściu krawca, wziął za n życzki, począł ciąć surdut i wykrawać barana, po wykrajaniu go, poczochnął włos na materjale, aby imitował wełnę, rozłożył go na całym stole, a sam rad figla, wlaźł w ciemny kąt i zasnął.

Obudził go donośny głos krawca, który był już powrócił z miasta, a ujrawszy, w jakim stanie jest surdut, nie posiadał się ze złości.

— Gdzie jest ten hultaj! ten niepoń! — krzyczał — dawajcie mi go tu, a gości mu połamie.

Sowizdrzał nie głupi był wyleźć ze swego kąta, czekał chwili, aż się krawiec nieco uspokoi.

Skoro, po długich hałasach i miotaniach się krawca, uciszyło się, wylazł z kąta i jakby nigdy nic, spytał krawca co ma robić.

— Ach ty obwiesiu! — krzyknął ten ostatni — gdzież się tak długo podziewał?

— Zrobiłem swoje i nie miałem nic więcej do roboty.

— Zrobiłeś robotę, jaką robotę? — zawołał wściekły krawiec.

— A no owego barana, coście kazali dokończyć—odrzekł z niezamąconym spokojem Sowizdrzał.

Krawca na taką odpowiedź gniew opuścił, i roześmiał się i figlarzowi zdarzenie to jakoś uszło bezkarnie.

W kilka tygodni potem, krawiec, mając nawał roboty i spiesząc się bardzo, rzekł.

— Weź i przyrzuc kieszenie do tej marynarki, a spiesz się, bo pilne.

I wyszedł do drugiej izby szyć.

Po niejakej chwili usłyszał jakiś dziwny hałas w pracowni. Z początku nie zwracał nań uwagi, lecz po niejakej chwili, zdziwiony nieustannym hałasem, poszedł, by zobaczyć, co się dzieje. Ujrzał marynarkę, daną Sowizdrzałowi do roboty, rozpostartą na krześle, a jego samego stojącego w pobliżu i rzucającego na marynarkę owe kieszenie, które kazał przyszyć. A z takim zajęciem i tak się związał, że nie spostrzegł krawca.

— A ty co robisz? — spytał zaciekawiony krawiec.

— Przyrzucam kieszenie, ale w żaden sposób nie chcę się trzymać. Jużem się napocił i namęczył!

— Ach ty nic dobrego! to ty figle będziesz sobie stroił i moje nakazy w żarty obracał, i to w chwili kiedy mi najwięcej chodzi o czas, bo robota pilna! Wynoś mi się zaraz do wszystkich djabłów. Pókim, myślał żeś niepełna rozumu, trzymałem cię z litości, ale teraz skoro

widzę, że figle i psoty trzymają się ciebie, marsz i niech cię moje oczy więcej nie widzą.

To mówiąc wyniósł mu jego ubogie manatki i zaplać co się należało, potrącając tylko za czas stracony.

Sowizdrzał, będąc już na wychodniem, zawołał ze śmiechem:

— Musicie teraz panie majstrze całą noc siedzieć, żeby wykończyć sam pilną robotę, ale dobrze wam tak, bo co innego myślicie, a co innego mówicie? — i z temi słowy zniknął za drzwiami. pozostawiając trzęsącego się z gniewu krawca.

Krawiec wierząc w dobrą pomoc,
W Sowizdrzała ufa pracę,
Chciałby z niego wiele wymódz,
Dając za to lichą płacę.
Te też wszczęły się niezgody,
Bo mu figlarz płodził szkody.

Jak Sowizdrzał dogodził szewcowi.

Od krawca poszedł Sowizdrzał do szewca.

Był to wielki pijak.

Pierwsze dni siedział w domu, by Sowizdrzała poduczyć rzemiosła, przyczem nie szczędzić mu szturchańców, bo był niecierpliwy z natury, a do tego ciągnęło go do szynczku, w którym radby wciąż przebywać.

Sowizdrzał do wszystkiego sprytny i szewstwa wprędce pojął, iż może o tyle polegać na nim i zostawić go samego, że mu szkody w robocie nie uczyni.

Powiedział więc do Jana.

— Weź i poseszywaj te duże buty i te dziecinne tak, żeby tylko obcasy zostały do przybicia.

I rad ze swobody, poszedł do szynczku.

Sowizdrzał nie wiele myśląc wziął wszystkie buty, jakie były i poseszywał je razem, jeden z drugim.

Skoro szewc powrócił do domu i zobaczył robotę, wrzasnął.

— A ty coś zrobił.

— Ano kazaliście razem pozesywać, ja też i pozesywałem — odpowiedział spokojnie Sowizdrzał.

— Ja ci przecież nie powiedziałem, żebyś razem pozesywał, tylko żebyś je uszył.

— Ale ja tak zrozumiałem — odrzekł z głupia frant.

— Ach ty gamoniu! — rzekł szewc — tym razem jeszcze ci przebaczę, ale na drugi raz, jak się tak zgapisz, wyrzucę na cztery wiatry.

W kilka dni potem, kiedy szewcowi znowu zapachniała gorzałka i zapragnął odwiedzić szynceczek, rzekł do Sowizdrzała.

— Masz tu skórę, pokraj duże i małe, żeby pasterz miał z nich pociechę.

Szewc nie lubiał się dosadnie wyrażać.

— A pamiętaj spraw się dobrze, bo inaczej skóra będzie w robocie, albo wylecisz stąd jak z procy.

Sowizdrzał filuternie się uśmiechnął i nic nie odrzekł, tylko sobie pomyślał.

— Kiedy ty nie gadasz zrozumiale, a prawisz facecje, to ci pokażę, jak jestem posłuszny.

Znudził się już Sowizdrzałowi pobyt u szewca i mało dbał o to, że go wyrzuci.

Wziął tedy skórę i powykrawał z niej rozmaite domowe zwierzęta: konie, krowy, cielęta, owce, barany, z ogromnemi zawijanemi rogami i t. p. Z największego kawała wykrajał pasterza z długim batem. Wszystko to ułożył na podłodze koło okna, żeby odrazu szewc spostrzegł. Oczywiście najpierw zwierzęta ustawił, potem za niemi pasterza.

Ledwie skończył swą mozolną robotę, wszedł szewc. Ujrawszy tyle skóry popsutej, ryknął:

— Cóżes ty zrobił?

— To, coście kazali — odrzekł on z flegmą zagadnięty. — Czyż nie ładne bydełko, chyba pasterz może mieć z niego pociechę.

— Wynoś mi się zaraz, ty gamoniu — wrzeszczał szewc, — a naprzód zapłać mi za zmarnowaną skórę.

Zapłacić nie mam czem, zresztą za co mam płacić, czyż nie spełniłem waszego żądania?

— Co ty mi tu jeszcze żarty będziesz urządzał? — i porwał się szwec, by go zbić pocięgiem, ale po Sowizdrzale już tylko kurz pozostał.

Szwec niepomny na przysłowie;
„Oko pańskie konia tuczy:
Wciąż miał tylko szynk w swej głowie,
Więc Sowizdrzał go też uczy,
By miał rozum strzedz dobytku,
A nie pijać aż do zbytku.

Przygoda z wędlinami.

Po ostatniej przygodzie, Sowizdrzał, zamierzając opuścić Wiedeń, znajdował się na końcu miasta, dokuczał mu strasznie głód, a nie miał przy sobie ani grosza.

Rozmyślał więc nad nowym podstępem dostania pożywienia. Wtem spostrzega starą kobietę, niosącą w koszyku wędliny; na wierzchu tych wędlin leżała okazałej wielkości szynka.

Sowizdrzał przysunął się do niej i rzekł z miną, pełną pokory:

— Ach, babinko, jakże możecie taki wielki ciężki kosz nieść, a toż podźwigacie się i będziecie chorować.

— Dobry chłopcze, — odrzekła kobieta — dzięki ci za poczciwe serce, ale ja nieraz już nosiłam podobne ciężary i Bogu dzięki nic mi się nie stało. Trudno, kto handluje podobnemi rzeczami, nosić je musi; zarabiam niewiele, bo towar drogi, więc na posługacza nie mogę sobie pozwolić.

— Pozwólcie, babciu, to wam poniosę — i nie czekając na pozwolenie, wziął z rąk staruszki koszyk i pociął się prędko.

Babina chciała mu krokiem dorównać, lecz wprędce się zasapała.

— Zaczekaj, chłopcze — zawołała — nie mogę iść tak prędko!

— Więc idźcie sobie, babciu, powoli, a ja nie lubię wolno chodzić, to zaczekam na was przy rogatce.

Lecz babinka tym razem z nieufnością nań spojrzała.

— Na to się nie zgodzę — zawołała — albo będziesz szedł razem ze mną, albo oddasz mi koszyk.

Lecz Sowizdrzał w miejsce odpowiedzi przyspieszył tylko kroku.

— Hej! ludzie, trzymajcie tego gałgana! — krzyknęła przestraszona staruszka.

Sowizdrzał, obawiając się zbiegowiska ludzi, zwabionych krzykiem staruszki, zawrócił, a stanąwszy przed nią, rzekł:

— Czego krzyczycie, czy myślicie, że jestem złodziejem? Macie swoje smakołyki, trzymajcie je dobrze, a mnie dajcie spokój. Niepotrzebnie tylko zabraliście mi czas, i jeszcze taka wdzięczność za dobre serce.

To mówiąc, wcisnął staruszce szynkę, która leżała na wierzchu koszyka, a sam z resztą wędliny, nim się stara zdolała zorjentować, umknął tak szybko, że go sam djabek by nie dogonił.

— Nie zamrze ci Sowizdrzał nigdy z głodu,
Bo ptakiem niebieskim jest on z rodu,
To raz pod ławą, to znów na ławie,
Coraz więcej zyskując na sławie.

Kąpiel w rzece.

Następnie Sowizdrzał udał się do Przasnysza. Tam rozmaicie mu się działo. Raz był na wozie, to znów pod wozem. Służył za kelnera w traktjerni, ale ze szkody czynił, tłukąc naczynia, to znowu łakomym się okazał, zjadając co najlepsze kąski, więc go wygnali. Potem był na posługach u kupca, ale i tam niedługo popasał. Na-

reszcie dla jednego złośliwego figla, musiał całkiem opuścić miasto. A figiel ten był następujący:

Dowiedział się był Sowizdrzał, że policjanci miejscy, zamiast pilnować miasta, zbierają się w ustronnej izbie domu sądowego, spędzając noc na pijatyce. Chciał więc zadać im trochę strachu, a także ukarać za opuszczanie się w służbie.

Niedaleko sądowego domu płynęła niewielka, lecz dość głęboka rzeczka, okolona dla publicznego bezpieczeństwa, barjerą. Barjerę ową stanowiły deski na żerdziach, które łatwo było odjąć. Sowizdrzał kawał placu огоłocił z desek. Potem podszedł pod okna owej izby, gdzie policjanci pili i podniósł straszny lament i krzyk:

— Ratunku! złodzieje! na pomoc! na pomoc!

Policjanci poruszeni tak przeraźliwym krzykiem, wypadli z izby, jak z procy. Zobaczywszy ich Sowizdrzał, pobiegł, ciągle krzycząc, w stronę rzeczki, przeszedł przez kładkę i na drugiej stronie w dalszym ciągu rozpaczliwie zawodził. Policjanci nie po ciemku nie widząc, przytem omroczeni trunkiem, pędzili na łeb, na szyję, wabieni krzykiem. Nie widząc barjery, nie przypuszczali, że to już rzeka i nim się spostrzegli, z urwistego brzegu bęc w wodę!

Kąpiel taka odrazu ich ocuciła, że przytem każdy z nich dobrze pływał, więc wprędce dobili brzegu i poczeli gramolić się po urwisku na wierzch ziemi. Towarzyszył temu uragliwy śmiech Sowizdrzała i wykrzykniki.

— A dobrze wam tak, opoje, darmozjady, kiedy, zamiast pilnować miasta, upijacie się jak bydłeta. Dobrze wam, dobrze, macie jeszcze na dokładkę.

I począł ciskać w nich grudkami ziemi.

Kilku z nich, oglądając się i grożąc mu z wściekłością, obsunęło się po oślizgłym brzegu.

Sowizdrzał miał zabawy i śmiechu co niemiara, a kiedy nareszcie wydostali się z wody i dobiegli kładki, aby go gonić, ten znikł w ciemnościach.

Artysta malarz.

Sowizdrzał uchodząc z oczu policjantom, bał się, by go po dniu nie poznali, wyniósł się tejże nocy zupełnie z Przasnysza, i udał się do Drezna.

Tam zgłosił się do pewnego bogatego grafa, podając się za słynnego malarza, pochodzącego z Włoch.

Ofiarował grafowi swoje usługi, obiecując wymalować takie arcydzieło, jakiego świat dotąd nie widział.

Graf uwierzył oszukańcowi i zgodził się na malowidło.

A może mi jaśnie wielmożny graf powie, jaka ma być treść obrazu?

— Namaluj mi, mój mistrzu, przejście żydów przez morze Czerwone i Egipcjan wraz z Faraonem w miejscu, kiedy ich morze pochłania.

— Dobrze, wola waszej wielmożności będzie spełniona. Tylko potrzeba mi półtora miesiąca czasu, osobnego pokoju, żeby mi nikt nie przeszkadzał i nie wchodził i ze 300 talarów zaliczki.

— Dobrze, mój przyjacielu, — odrzekł graf, wyjmując pieniądze — oto zaliczka; wszystko zaś co żądasz, każę ci przygotować.

Graf nie szczędził wygód Sowizdrzałowi, dogadzając również jego smakowi, tak, że w przeciągu tych kilku tygodni Sowizdrzał opływał jak pączek w masle, graf znowu był dumny, że mieści w murach swego pałacu sławnego włoskiego mistrza barw. Dziwiło tylko nieco grafa, że mniemany malarz bardzo mało maluje, a więcej czasu spędza przy stole, lub na przechadzkach w pięknym parku. Zapytany w tej kwestji Sowizdrzał odparł:

— Nie zawsze jestem w natchnieniu, za to, gdy uchwycę ową cudowną twórczość, która dana jest tylko ludziom wybranym, maluję tak szybko, że żaden malarz we Włoszech dorównać nie może. Zapewniam Waszą Wielmożność, że w oznaczonym przemieście terminie, obraz będzie wykończony.

— Zatem, by nadać wam, mistrzu, większy rozgłos.—
mówił hrabia — zaproszę na odsłonięcie obrazu dużo gości.

Gdy wreszcie nadszedł oznaczony dzień, obraz był ukończony, a w salonach grafa roiło się od zaproszonych gości.

Zasłonięty obraz umieszczony był w największej sali na umyślnie przygotowanym wzniesieniu.

Wreszcie zgromadzili się wszyscy w owej sali, gdyż przyszła chwila ujrzenia arcydzieła.

Na wzniesieniu wszedł mniemany sławny malarz, wyciągnął rękę i jednym rzutem odchylił zasłonę.

W pierwszej chwili zaległa cisza, poczem dał się słyszeć ogólny szmer, przerywany wykrzyknikami:

— Co to jest?! Tam nic nie widać! Coś zamazanego!

Graf, błądzący z gniewu, przystąpił do Sowizdrzała, pytając coby obraz oznaczał.

— To morze Czerwone, Wasza Wielmożność— odrzekł bynajmniej nie strapiiony malarz — wszak widzicie, że jest czerwonego koloru.

— A gdzież żydzi i Faraon z Egipcjanami?

— Żydzi już dawno przeszli, a to jest właśnie miejsce, w którym morze pochłonęło wojsko egipskie i Faraona. Na taką odpowiedź szalony śmiech powstał.

A graf, przyskoczywszy do Sowizdrzała, krzyknął:

— Natychmiast mi się wynoś, bo każę psami wyszczuć!

Jeszcze graf tych słów nie dokończył, już malarz znikł, kontent że udało mu się całą wynieść skórę, rozkoszując się wspomnieniem smacznych śniadań i obiadków, a przedewszystkiem ciesząc się z otrzymanej zaliczki, która nienaruszona jeszcze spoczywała w jego kieszeni.

I zadrwił z grafa nielada,
Aż ten w gniewny szal wpada,
Śmieją się wszyscy do rozpuku,
Było z tego dużo huku.
Sławny z tego stał się graf
Lecz nie mógł puszyć się jak paw.

Jak Sowizdrzał piwo warzył.

Sowizdrzał znowu za otrzymane pieniądze począł hulać i wtedy dopiero pomyślał o pracy, gdy je wszystkie przetracił.

Przyjął tedy służbę u browarnika.

Pewnego razu browarnik miał iść na chrzciny, i całą robotę nad wyrobem piwa oddał Sowizdrzałowi, tedy na odchodnem rzekł:

— Uważaj bacznie i zlewaj piwo ostrożnie, żeby nie było mętne. Zlej raz, a potem drugi raz, następnie dopiero wrzuc chmiel, postaw na ogniu i zagotuj.

Sowizdrzał uczynił podług przepisu browarnika, lecz zamiast rośliny chmielu, wrzucił do kotła ulubionego pieska browarnika, który wabił się Chmiel.

Gdy browarnik powrócił z chrzcin, zdziwiony był, że ulubiony jego piesek nie witał go, myśląc, że może chory, zawołał:

— Chmiel, chmiel, pójdz tu!

Na to Sowizdrzał:

— Wasz chmiel, gospodarzu, kłania się wam z kotła.

— Co ty gadasz?

— Ano samiście kazali go wrzucić do piwa, więcem wypełnił wasz rozkaz.

Browarnik nie wierzył słowom Sowizdrzała, sądząc, że żartuje, nie widząc jednak nigdzie psa, wziął za warząchem, począł mieszać w kotle i rzeczywiście, zamiast chmielu, urzął już tylko drobne kosteczki i skórę psa.

I znowu Sowizdrzał stracił miejsce, bo go browarnik w wielkim gniewie, obiwszy, wygnał.

Sowizdrzał wilkiem.

I znowu chodził Sowizdrzał bez pracy, a głód mu bardzo dokuczał. Z nędzy przyjął miejsce u kuśnierza, chociaż najmniejszego nie miał o tym fachu pojęcia.

Jak wszędzie tak i tam różne figle świtały mu w głowie. Żarty i żarciki, najczęściej bardzo złośliwe, płatał ile weszło, niewiadomo skąd się u niego brały, taki miał ich zapas niewyczerpany.

Kuśnierz, że był człowiekiem cierpliwym, znosił je dość długo, z niektórych nawet uśmieł się nie mało. Ale wreszcie przebrała się miara i Sowizdrzał po niezliczony już raz musiał zmykać.

Nałożył był on na siebie futro wilcze wraz z ogromnym łbem i spiczastemi kły, u którego to łba wielkie ślepie złowrogo błyszcząły. Stała w takim przebraniu w mrocznym kącie i wyciągnął łapy wilcze, jakby gotując się do skoku. Chciał tym sposobem przestraszyć którego z przechodzących czeladników.

Zamiast spodziewanego współ-kolegę nadeszła mała córeczka kuśnierza, a gdy ujrzała straszne wilczysko, krzyknęła przeraźliwie stworzona i bez zmysłów padła na ziemię.

Na krzyk jej nadbiegł kuśnierz, a widząc zemdlone dziecko, przestraszył się bardzo, sądząc, że zachorowała. Zaraz jednak spostrzegł skórę wilczą, z której wydostawał się Sowizdrzał. Poznał więc odrazu przyczynę zemdlenia córeczki.

— Ach ty łajdaku, szubieniczniku!—zawołał — to ty mi będziesz dziecko straszyl! Czekaj, dam ja ci!

I porwawszy laskę, dalej za nim.

Sowizdrzał puścił się po schodach w mgnieniu oka przy wyjściu. Kuśnierz, dobrej tuszy, natknął się na schodach na wchodzących na górę dwoje ludzi, a nie mogąc się w rozpędzie zatrzymać, wpadł na nich, i razem, tworząc jakiś beładny kłęb, zwałił się na sam dół.

Gdy potłuczony boleśnie, kuśnierz, podniósł się z ziemi, Sowizdrzała już dawno nie było.

Próżna sprawa z wiatronogim,
Gdy się w nogach jest ubogim;
Próżno kuśnierz łotra gonił,
Próżno od upadku stronił,
Sam się potłukł niebożątko
I nie schwytał też kozłątka.

Sowizdrzał terminatorem kowalskim.

Przechodząc przez pewną wieś, gdzie była kuźnia, prosił, zgłodniały i znędzniały Sowizdrzał, kowala, by go przyjął do terminu.

— Dobrze, — rzekł kowal — ale u mnie jest ciężka praca i wylegiwać się na pościeli długo nie można. Skoro świt już trzeba zabierać się do roboty.

Sowizdrzał nie miał ochoty wcześniej wstawać, leżał na pościeli najdłużej, a nawet, gdy miał wolną chwilkę, biegł na strych, gdzie czeladź w nocy spała i buch na pierwszą lepszą pierzynę, i chrapie!

Kilka razy kowal, będąc zajęty robotą, nie zauważył nieobecności Sowizdrzała, lecz gdy pewnego razu długo jakoś widać go nie było, zapytał się o niego.

Nikt nie wiedział gdzie jest Sowizdrzał, poczęto go więc szukać i kowal znalazł go śpiącego na strychu.

— A ty gałganie! to ty na betach leżysz, podczas kiedy wszyscy pracują?! — krzyczał kowal — zaraz mi do roboty!

Nazajutrz skoro wszyscy o zwykłej porze stanęli do roboty, Sowizdrzał ostatni, jak zwykle, zeszedł... z piernatem przywiązanym na plecach.

— A to co? — krzyknął kowal, wskazując na piernat.

— A no — odrzekł rezolutnie zapytany — nie pozwoliliście mi leżeć na betach, to niech bety na mnie leżą.

— Ja ci tu dam smolić mi pościel — rzekł z pasją kowal — zaraz mi to odnieś skądś wziął!

Sowizdrzał poszedł na strych i znowu długo nie było go widać z powrotem.

Kowal, nie posiadając się ze złości, pobiegł na górę i po drodze krzyczał:

— A bodajeś przepadł, ty darmozjadzie!

Sowizdrzał zerwał się z pościeli nim się jeszcze ukazał kowal i ukrył się pod belkę.

— A gdzieś ty obwiesiu! — wołał kowal, nie widząc go nigdzie.

— Kazaliście bym przepadł, więc niema mnie, przepadłem — pisał kowal Sowizdrzał z ukrycia.

— Ach ty próżniaku! to ty sobie żarty będziesz robił? Bodajcie djabli wierzchem za łeb wynieśli!

Ledwie to wymówił kowal, gdy dał się słyszeć rumor i trzask pod dachem. Spojrzał kowal w górę, a tu Sowizdrzał, upatrzawszy mały otwór w dachu, nuż wyrzucać i łamać gonty, aż nareszcie gdy się już mógł przezeń przedostać, wylazł na wierzch i krzyknął:

— Żegnajcie gospodarzu, jakieście sobie życzyli, tak się stało. Idę harcować z djablami!

Po drabinie spuścił się na dół i czmychnął.

A kowal darł włosy ze złości i ze zmartwienia, że będzie musiał wyłożyć pieniądze na reperację zepsutego dachu.

Kowal chciał mieć zeń pociechę,
Aż ten naraz popsuł strzechę;
Trudno radzić z wiercipiętą,
Tak szkodliwą i tak ciętą.

Sowizdrzał uczonym.

Sowizdrzał potem zachodził do rozmaitych miejscowości, a wszędzie i zawsze tylko figle i psoty świwały mu w głowie.

Sprzykrzyło mu się już rzemiosło, każdego już bowiem próbował i umyślił ogłosić się za mędrca, aby zebrać odrazu okazałą sumę pieniędzy. Kilkakrotnie szczęśliwie mu się to udawało, postanowił więc znowu zaryzykować.

Udał się więc do Meklemburgu i wielkimi plakatami dał znać o sobie w następujący sposób:

„Jan Sowizdrzał, wielki i sławny uczony, wykląda wszelkie nauki tak jasno i dobitnie, że w kilka miesięcy z największego osła i nieuka, metodą sobie tylko wiadomą, uczyni człowieka, mającego o każdym przedmiocie, w zakres nauki wchodzącym, dokładne pojęcie.“

Poczem następował adres owego uczonego.

W Meklemburgu znajdowała się Akademia nauk, w skład której wchodziło wysoko uczeni ludzie i filozofowie.

Dowiedziawszy się o owem ogłoszeniu, zapragnęli poznać uczonego, a nawet zaniepokoiłi się takim współzawodnictwem, gdyż dla nich było niepodobieństwem w tak prędkim czasie wszystkiego nauczyć, a i sami też potrzebowali długich lat nauk i studjów. Zachodzili też w głowę, jakim sposobem ten sławny uczony tak prędko oświeca puste głowy nieuków.

Znalazł się jednak człowiek w Meklemburgu, który znał Sowizdrzała. Widział go u owego grafa, u którego Sowizdrzał podał się za sławnego malarza, gdyż był on tam lokajem. Obecnie pełnił posługi w Akademji.

Kiedy rada uczonych wezwała Sowizdrzała do siebie, posługujący ów zobaczył mniemanego uczonego i poznał go odrazu. Nieomieszkał zaraz po wyjściu Sowizdrzała

uprzędić uczonych z kim mają do czynienia, opowiedziawszy przygodę u grafa. Chcąc ukarać i wyśmiać oszusta, uczeni postanowili z niego zażartować i oznaczyli mu godzinę zebrania.

Na drugi dzień Sowizdrzał został wezwany przez rektora Akademji, który odezwał się w te słowa do niego:

— Podajecie się kolego za tak wielkiego, a nawet słynnego uczonego, że największego osła potraficie nauczyć rozumu. Dobrze więc, pokażcie co umiecie i nauczcie osła mego czytać.

— Dobrze — odrzekł nie namyślając się Sowizdrzał — lecz na to potrzebuję więcej czasu, niż na naukę człowieka. Potrzebowałbym na naukę zwykłego osła z 10 lat czasu, a ponieważ nie ze zwykłym będę miał do czynienia, gdyż jest to osioł uczonego, sądzę więc, że pięć lat nauki wystarczy.

Rektor puścił mimo uszu złośliwą uwagę, obiecując sobie, że żart, który wymyślili i tak dostatecznie Sowizdrżala ukarze.

— Ileż więc chcecie, kolego, za wyuczenie sztuki czytania?

Rocznie chcę pobierać 200 guldenów, co przez pięć lat uczyni 1000 guldenów, oprócz tego zadatku chcę 150 guldenów, osobną stajnię, do której nikt prócz mnie nie miałby wstępu, potrzebuję także dużego abecadnika, no i naturalnie pożywienia dla osła.

— Dobrze — odrzekł rektor — wszystko to otrzymacie niebawem, kolego, a oto macie zadatek.

To mówiąc położył przed Sowizdrzałem 150 guldenów.

Sowizdrzał, zaprowadzony do stajni osła, położył w żłobie abecadnik, a między karty, ponakładał owsa i siana.

Osiel czując pożywienie, a nie widząc go przed sobą, ryczał: „au, oa, ya!” doszukując go się wreszcie, począł piskiem przewracać kartki.

Po kilkakrotnem ponowieniu próby, gdy ta się w podobny sposób udawała, ucieszony Sowizdrzał dobrym re-

zultatem, pobiegł do rektora, by podziwiał pierwsze udatne początki.

— Cóż, już się nauczył? — rzekł rektor — tak prędko?

— Są to dopiero pierwsze początki, które z niemałym trudem kłaść by trzeba było każdemu innemu zwierzęciu, a cóż dopiero osłu, ale niez mordowaną pracą i metodą moją doszedłem do tego, że skutkami jej mogę cokolwiek się pochwalić.

— Dobrze więc — odrzekł rektor — jutro rano przyjdę się przekonać o tych cudownych skutkach osłej nauki.

Z wieczora i rano Sowizdrzał nic nie dał jeść osłu, dopiero, gdy ujrzał zdaleka idącego rektora, nasypał między kartki pożywienia.

Rektor wszedł, a osieł, szukając żywności, drażniony zapachem, przewracał kartki i ryczał: „oa, ai, au, ay!”

— To są dopiero samogłoski i to nie wszystkie, ze spółgłoskami będzie trudniejsza sprawa, ale mam nadzieję że się i z temi uporam.

— Ucz dalej, ucz, — rzekł rektor drwiąco, udając, że się nie poznaje na zwykłym ryku oslim, chcąc później z większym wstydem ukarać Sowizdrzała — ale tak, żeby płynnie czytał.

W kilka tygodni potem rektor ciężko zachorował i niedługo potem umarł.

Uczni przejęci chorobą i śmiercią swego zwierzchnika zapomnieli o Sowizdrzale i o osle. Kiedy po odbytych ceremonjach pogrzebowych przypomnieli sobie o nich i poszli ich odwiedzić, mniemanego mędrca już dawno nie było; zastali tylko zgłodniałego i zbiedzonego osła, który z głodu darł się w niebogłosy.

Skorzystal figlarz z ogólnego zamieszania i ulotnił się, unosząc z sobą udzieloną mu tak hojnie zaliczkę.

I znowu udało się Sowizdrzałowi wykręcić sianem z opresji.

Z wydrwigroszem trudna sprawa,
Drogo wypadła zabawa;
Kosztem mądrych się utuczył,
A i osła nie nauczył.

Z a gorliwy.

Znowu jakiś czas Sowizdrzał świętował za owe 150 guldenów, póki ich wszystkich nie stracił. A skoro poczuł już pustki w kieszeni, znowu począł oglądać się za robotą. Ponieważ lubił zmiany, nie mogąc zagrzać miejsca nigdzie długo, tym razem zgodził się do tkacza w mieście Toruniu.

Tkacz, umawiając się z nim, powiedział:

— Tylko wymawiam sobie, by z poniedziałków nie robić świąt. Roboty u mnie jest dużo i pilna, wszyscy więc pracujący cały okrągły tydzień muszą pracować!

Sowizdrzał wziął się gorliwie do pracy, tak gorliwie, że pierwszy wstawał, a ostatni odchodził od niej. Był przytem sprytny i pojętny, tak, że w kilka dni nauczył się wiele.

Tkacz był wielce zadowolony ze swego nowego czeladnika, z jego sprawności i gorliwości, chwalił go też przed wszystkimi, stawiając za wzór swym czeladnikom.

W tygodniu wypadło święto. Wszyscy czeladnicy wraz z majstrem pozwolili sobie na dłuższe spanie, wynagradzając sobie niedospanie całotygodniowe. Wtem obudził ich stuk maszyny tkackiej w pracowni. Zdziwili się bardzo, ktoby mógł pracować przy święcie, majster zaś posłał jednego z pracowników, by zobaczył coby to takiego było.

Czeladnik powrócił, dając znać, że to Sowizdrzał tak pilnie pracuje, że go nawet wchodzącego do pracowni nie zauważył.

-- Zawołaj mi go tu, — rzekł majster.

Czeladnik ledwie dowołał się Sowizdrzała.

Gdy ten przyszedł, tkacz rzekł:

— Bardzo jestem z ciebie kontent, mój bracie, żeś taki pilny do roboty, ale czyż zapomniałeś o tem, że dziś święto? Dajże więc pokój na dziś robocie.

— Mówiliście, gospodarzu—odrzekł— że cały tydzień okrągły trzeba pracować, a że to dziś nie niedziela, więcem myślał, że się dziś pracy nie przerywa.

Na taką odpowiedź majster tylko wzruszył ramionami.

Nazajutrz przypadło Sowizdrzałowi klepać wełnę. Majster, gdy go zoczył przy tej czynności, rzekł:

— Hej, przyjacielu, klep trochę wyżej, bo tak jak klepiesz, klepiesz za nisko, i przez to wełna będzie za mało pulchna.

Sowizdrzał nic na to nie odrzekł, zabrał tylko swą robotę, przeniósł ją na strych i tam począł klepać.

Tkacz znowu idzie za nim.

— Cóż ty wyprawiasz, gdzieś znowu wlaź?

— Ano, kazaliście wyżej klepać, to klepię wyżej,— odrzekł flegmatycznie zapytany.

— Skaranie z tym gamoniem—zawołał—możebyś tak, głupcze, jeszcze wyżej wlaź, co?—dodał, naśmiewając się, i z temi słowy tkacz zeszedł do pracowni.

A Sowizdrzał tymczasem nie schodził z góry, w dalszym ciągu prowadząc swą robotę, bo klepanie znowu rozlegało się, tylko jeszcze głośniejsze.

Tkacz machnął na to ręką, a nie chcąc przeszkadzać sobie w robocie, nie zwracał już uwagi na Jana, wszystko mu bowiem jedno było, gdzie klepie wełnę jego nowy czeladnik.

Wtem wbiega ze dworu jeden z chłopców pracujących i woła.

— Gospodarzu, idźcie no zobaczcie, co ten Sowizdrzał wyprawia. Toć on na dachu wełnę klepie.

Tkacz wybiega na podwórze, patrzy, a tu Sowizdrzał na dachu zajadłe wali w wełnę, nie uważając na to, że wiatr ją roznosi na wszystkie strony.

Wściekły tkacz, widząc taką szkodę, krzyknął.

— A coż ty, błaznie, wyprawiasz? Nie widzisz co się z wełną robi?

— A co się ma robić?—spytał Sowizdrzał.

— Czyż nie widzisz, że ją wiatr roznosi na wszystkie strony?

A Sowizdrzał z głupia frant na to.

— A toć widzę i nawet się dziwię, że każecie tak wysoko klepać, ale tak czynię, jak wy chcecie.

Na to majster, rozgniewany do najwyższego stopnia, krzyknął.

— Wynoś mi się zaraz ty gamoniu! Jeżeliś taki głupi, że nic zrozumieć nie możesz, czego od ciebie żądam, to cię nie chcę, a jeżeliś figlarz, i dla uciechy swojej zbytki ci w głowie siedzą, to tembardziej cię nie chcę, bo zarazisz swemi głupstwami moich czeladników. Marsz! zabieraj swoje manatki!

I tak przez swoje figle, których żadną miarą nie mógł się pozbyć, Sowizdrzał znowu stracił miejsce.

Chciał Sowizdrzał być gorliwym,
Tkacz zaś uznał go szkodliwym.
Szybko spełniał majstra wolę.
Skończył szybko tkacką dolę.

Kiepski zarobek.

Sowizdrzał pewnego razu przechodził przez małe miasteczko Neumark. Droga prowadziła koło rzeźniczych jatek. Wtem zaczął go jeden z właścicieli jatek, mówiąc:

— A możebyście i wy, dobrodzieju, co zabrali z niego towaru do domu?

— O i owszem — odrzekł Sowizdrzał — przyda się. Odważcież mi z kilka funtów ładnej połówicy.

Rzeźnik odważył i nie przeczuwając zamiarów Sowizdrzała, wręczył mu z pięknym uśmiechem sprawunek, nadstawiając rękę po pieniądze, ale Sowizdrzał złapał czempredzej mięso i wziął nogi za pas.

— A to co! — krzyknął zdumiony rzeźnik — złodzieju! trzymajcie go! ukradł mi mięso! Sowizdrzała zatrzymano, a ten ostro do rzeźnika:

— Jak śmiesz mnie nazywać złodziejem, czyś mnie sam nie częstował mięsem ze swej jatki?

— Tak, częstowałem, ale za pieniądze.

— O pieniądzach nie było mowy. Powiedziałeś, abym coś zabrał, więc biorę.

— Ależ ja na to się nie zgadzam — krzyczał rzeźnik. — Oddaj zaraz mięso, albo pieniądze.

— Nic nie oddam — odrzekł Sowizdrzał — ja także się na to nie zgadzam, abyście sobie ze mnie żarty stroili.

To mówiąc, Sowizdrzał poszedł w swoją drogę.

Inni rzeźnicy, słysząc co mówi Sowizdrzał, przyznali mu rację, a nawet poczęli śmiać się z tej całej awantury, pokpiwając sobie z poszkodowanego, co tak rozłościło tego ostatniego, że począł się z nimi kłócić, a nawet przyszło do zażartej bójki; Sowizdrzał, zdaleka stojąc i przypatrując się, doskonale się ubawił, gdyż miał bezpłatne przedstawienie.

Nic nie wskurasz z Sowizdrzałem,
Choć byś brał się doń z zapałem,
A w wyniku awantura;
On tymczasem zrobił nura.

Koń bez ogona.

Sowizdrzał, pewnego razu, przechodząc przez miasto Lubekę, trafił na jarmark na konie. Ponieważ nigdy nie pominął żadnej okazji, aby nie wyciągnąć jakiejś korzyści dla siebie, zatrzymał się w mieście i wmieszał między kupujących i sprzedających, pilnie bacząc i przysłuchując się sprzedaży. Jarmark był bardzo ożywiony, a ludzi jak mrowia. Konie, jak to zwykle na jarmarku, najrozmaitsze: od młodych, dobrej rasy ogierów, do starych zdezelowanych, wypracowanych, a nawet chromych.

Sowizdrzał zuważył był, jak znawcy, kupujący konie, dla przekonania się o wartości konia, pociągali go za ogon.

Upatrzył więc sobie starą, ochwaconą szkapę, do tego bez ogona, i postanowił ją kupić.

Wytargowawszy się z właścicielem konia ile wlażło, kupił go wreszcie za bardzo tanie pieniądze, udając się następnie do oberży. Tam w stajni, kiedy nikogo nie było, przyprawił klejem koniowi ogon, z włosia końskiego, który kupił w odpowiednim sklepie, przytem oczyścił i wygładził go, uczesał mu grzywę, tak, że stara szkapą wyglądała na wcale przyzwoitego konia.

Z tak odmłodzonym poszedł Sowizdrzał na targ z zamiarem sprzedania konia. Nie czekał długo na kupca, gdyż ten wkrótce zjawił się.

Zwykłym zwyczajem, oglądając konia, kupiec pociągnął go za ogon, a że to dość silnie uczynił, więc ogon został mu w rękę, a on sam z wielkim rozpędem upadł na ziemię. Trzeba było widzieć jego wielce przestraszoną minę, gdyż był pewien, że urwał koniowi ogon.

Sowizdrzał w lament:

— Mój koń bez ogona! coście uczynili! nikt go teraz nie kupi! zapłaćcie mi zaraz za mojego konia!

Tu wymienił sumę w trójnasób większą, niż sam zapłacił.

Niefortunny kupiec, rad nie rad, musiał zgodzić się na żadaną kwotę, niechcąc by sprawa oparła się o sąd, konia zaś zabrał sobie jako prawnie doń należącego. Nie dość, że zapłacił tak drogo za konia, który nie był wart tyle, lecz jeszcze przeprowadzany był drwinami i kpinkami gawiedzi, wyśmiewającej się z konia bez ogona.

Przykry zawód.

Za owe pieniądze kupił Sowizdrzał dobrego i pięknego konia i pojechał na nim do Stendalu. Tam wszedłszy do oberży, wdał się w rozmowę z jakimś wielkim znawcą koni. Rozmowa naturalnie odrazu weszła na konie. Ów znawca prosił Sowizdrzała, by mu pokazał swego wierzchowca. Skoro go zobaczył, koniecznie prosił, by mu go sprzedał, na co Sowizdrzał nie chciał się zgodzić. Lecz,

gdy ów znawca koni nie dawał mu spokoju, wtedy Sowizdrzał rzekł:

— Dobrze, zgodzę się, ale pod jednym warunkiem.

— Zgadzam się z góry na wszystkie warunki — odrzekł koniarz z uporem.

— Pozwólcie więc, że odbierzecie ode mnie 4 cięcia szpicrutą, które gdy wytrzymacie, koń wasz.

— Dobrze, zgadzam się.

Sowizdrzał wziął za szpicrutę i wymierzył znawcy 2 bolesne cięcia, poczem szybko wskoczył na konia i zawołał:

— Po drugą połowę zgłoś się do mnie na drugi rok.

Z temi słowy pomknął galopem i wkrótce znikł w dali.

A naiwny znawca koni, próżno pomstował, zły na siebie, że się dał tak podejść i mocno rozcierał sobie obite miejsce.

Tak to bywa na tym świecie,
Gdy się nazbyt targujecie;
Nasz Sowizdrzał koniec zrobił,
Na odczepne znawcę obił.

Sowizdrzał na śmierć skazany.

W Lubece, ów kupiec, który kupił tak niefortunnie konia od Sowizdrzała, nie mógł zapomnieć tej tak niemiłej przygody, ponieważ nikomu jeszcze nie przytrafiło się urwać koniowi ogona i każdemu, komu opowiadał o tem, nie chciał temu wierzyć, począł więc podejrzewać podstęp, udał się więc z koniem do weterynarza, pokazując mu oderwany ogon, i ten, po oględzinach, orzekł, że ogon jest uczyniony ręką ludzką i był przyklejony, gdyż znalazł ślady kleju.

Kupiec podał skargę do sądu na Sowizdrzała. Sędziowie, rozpatrzywszy sprawę, uznali go winnym oszustwa i kradzieży, i wydali rozkaz, by schwytano Sowizdrzała.

Ponieważ go już w mieście nie było, szukano go więc w okolicach i znaleziono w Stendalu, zaraz po owym figlu, spletanym owemu znawcy konia.

Sowizdrzał został osadzony w więzieniu, a ponieważ w owe czasy wszelkie choćby i mniejszej wagi przestępstwa, były surowo karane, nierzadko i karą śmierci, więc Sowizdrzał, jako oszust i złodziej, został skazany na karę śmierci przez powieszenie.

Usłyszawszy taki wyrok, choć niezbyt przyjemnie nań podzielał, gdyż rozstanie się z życiem wcale mu się nie uśmiechało, jeszcze i wtedy nie stracił dowcipu, sięgnął po rozum do głowy, w której powstał nowy pomysł.

— Szanowni sędziowie! Wiem, żeście słusznie osadzili moją sprawę i, skoro wydaliście tak srogi wyrok, muszę się z nim zgodzić. Ponieważ jednak wolno mieć przed śmiercią życzenia i wy je uwzględnicie, przeto, proszę, przyjmijcie i moje życzenie i przychylcie się do mej ostatniej prośby. Proszę was przeto, byście mnie powiesili nie na szubienicy, jak zwykłych przestępców, lecz w pobliżu miasta znajdującym się gaju, przez który niedawno przechodziłem i który wydał mi się bardzo pięknym. Nadto proszę, bym sam mógł wybrać sobie drzewo, na którym wisieć będę.

— Dobrze, zgadzamy się, — odrzekli sędziowie, zdziwieni taką prośbą, gdyż żaden z dotychczasowych przestępców, karanych podobną śmiercią, nie objawił nigdy tak oryginalnego życzenia.

Sędziowie życzenie więźnia i spełnienie tegoż wciągnęli do akt i ksiąg, zawierających wyroki śmierci.

Następnie poprowadzono Sowizdrzala do gaju za miasto.

Gdy tam przybyli, począł Sowizdrzał upatrywać sobie drzewo. Lecz, ponieważ był to gaj jeszcze młody, wszystkie drzewa były cienkie, a gałęzie bardzo delikatne, tak, że po długich poszukiwaniach przekonano się, że nie ma odpowiedniego drzewa w gaju, na którym by człowiek mógł zawisnąć.

Sędziowie źli byli na siebie za taką nieroztropność, że nie wzięli tak ważnej rzeczy pod uwagę, a jeszcze więcej za to, że takiemu frantowi dali się wywieźć w pole'

lecz że wyrok był już wpisany i podpisany przez wszystkich sędziów zmieniać go już nie można było, postanowili więc między sobą wygnać Sowizdrzała z miasta i jego okolic, z zastrzeżeniem, że jeśli dowiedzą się o jego bytności gdziekolwiek w pobliżu, wtedy, bez pardonu i bez żadnych sądów, jakimkolwiek sposobem pozbawią go życia.

Zbytecznym jest dodawać, że Sowizdrzał starannie unikał spełnienia takiej groźby.

Zaglądała śmierć mu w oczy,
Lecz do gaju śmiało kroczy:
Wybrał niskie, małe drzewko,
Śmierć ucieka chyżo, krewko.
Sąd na figlu wraz się poznał,
Niemiłego wstydu doznał,
Rację jednak musiał przyznać,
Tylko z kraju kazał wygnać.

Ukarany skąpiec.

Sowizdrzałowi, będącemu jakiś czas bez pracy, bieda dawała się uczuć coraz bardziej. Zbiedzony i nędzny zawędrował do Bremen, gdzie szukał pracy. Ponieważ jednak rozgłos figlów jego rozszedł się daleko, strzegli się ludzie z takim frantem mieć do czynienia, a poznając go z opisu, nie chcieli przyjąć do żadnej pracy.

Wreszcie z musu począł żebrać. Datki otrzymywał rozmaite, większe i mniejsze, ale wszędzie niezbyt chętnie dawano, widząc w nim człowieka młodego, nie dotkniętego żadnym kalectwem, a więc zdolnego do pracy.

Nareszcie pewnego razu natrafił na pewnego bardzo bogatego, ale znanego na całe miasto, sknerę, który, nie dosyć, że nic nie dał, ale jeszcze kazał Jana wyszczuć psami.

— Czekał, czekał skąpce obmierzły — groził Jan za bramą — znajduję sposobność, w której tak ci się przysłużę, że mię na długo zachowasz w pamięci.

Na pomysł nie długo czekał Sowizdrzał, a i sposobność wkrótce się nadarzyła.

Włóczył się on pewnego pięknego dnia, używając przechadzki i upatrując zamożniejszych osób, aby wybrać datek, po ogrodzie publicznym. W jednej z mniej uczęszczających alei, w cienistej altance, spostrzegł owego skąpca, opartego o ławkę i w najlepsze śpiącego. Że sen jego był mocny, świadczyło o tem donośnie od czasu do czasu chrapanie.

Sowizdrzał ostrożnie podszedł doń i delikatnie odczepił wiszący łańcuszek od zegarka, następnie spiesznym krokiem udał się do domu skąpca.

— Czy jest pani w domu? — spytał służącej.

— Jest — brzmiała odpowiedź.

— Proszę spiesznie iść do niej i powiedzieć, że posłaniec od jej męża chce z nią mówić.

Służąca poszła, a niebawem wyszła pani z miną nieco zaniepokojoną, sądząc, że co złego stało się jej mężowi.

— Czy poznajecie wasza miłość ten łańcuszek — zapytał Sowizdrzał.

— Poznają, — odpowiedziała pani — jest on własnością mego męża.

— Łańcuszek ten dał mi wasz mąż, jako znak, że jestem przysłany od niego. Żąda on bowiem, byście przeze mnie przysłali mu 40 talarów.

Żona skąpca zdziwiona była wielce, na co jej mężowi potrzebna naraz taka duża suma, mając jednak dowód niezbity, że posłaniec przychodzi od niego, dała żadaną kwotę pieniędzy.

Sowizdrzał spiesznie się oddalił.

Niedługo potem powrócił skąpiec do domu z bardzo zafrasowaną miną.

— Cóż tam za sprawunek czyniłeś tak drogi, żeś przysłał po tak dużą sumę pieniędzy — zapytała żona.

— Ja przysyłałem po pieniądze, kiedy? — zapytał skąpiec przestraszony.

— Przysłałeś przecież posłańca, a na znak przysłałeś ten oto łańcuszek.

— Co! jest łańcuszek, a tak się o niego martwiłem!— rzekł zdziwiony i do najwyższego stopnia zaniepokojony skąpiec. — Ale ja go nie przysyłałem, zdrzemnąłem się tylko w ogrodzie i ktoś mi go musiał ukraść.

Gdy z opowiadania żony dowiedział się, jak wyglądał ów posłaniec i ile otrzymał talarów, domyślił się od razu owego włóczęgi, wyszczonego psami, a odgrażającego mu się za bramą i pienieł się ze złości na samego siebie, że, za swoje skąpstwo, musiał tak drogo zapłacić.

Sowizdrzał tymczasem za owe pieniądze zaspokoił głód i odział się przyzwoiciej, a obawiając się, by go nie poszukiwano, poszedł precz z Bremen.

Niedoszły cyrulik.

Będąc raz w Berlinie zajrzał do traktierni, gdzie kazał sobie podać piwa. Przysiadł się do stołu, gdzie już obok zapijał również nektar gambrynusowy niemłody jegomość. Wkrótce zawiązała się między nimi rozmowa i w trakcie jej dowiedział się Sowizdrzał, że ma z cyrulikiem do czynienia.

— W takim razie jestem kolegą waszym po fachu— rzekł Sowizdrzał.

— To dobrze, w sam raz, potrzebuje pomocnika, jeżeli chcesz u mnie pracować, to wejdź, gdzie widać owe szerokie okno — odparł cyrulik, wskazując palcem przeciwległą kamienicę.

— A wy zostajecie jeszcze tutaj?

— Tak jest, mam się widzieć ze znajomym, który lada chwila nadejdzie.

— To dowidzenia, idę prosto do waszej golarni, a za moje piwo tymczasem zapłacicie, to wam zwrócę.

Szybkim krokiem udał się we wskazane miejsce i wlaźł przez okno do mieszkania, wybijając jedną z dwóch szyb.

— A ty obwiesiu, podła gadzino! czy tędy droga do Rzymu, nie wiesz to o tem, że się drzwiami zawsze wchodzi — wrzeszczała zirytowana cyrulikowa.

— Wybaczcie gosposiu, wszak to wasz czcigodny mąż, kazał mi iść tą drogą.

— Patrzcie, jeszcze pozwala sobie drzwi ze mnie, dalipan takiego hultaja świat chyba nie widział.

W tym momencie wszedł majster od brzytwy, a zoczywszy co się dzieje — zawołał:

— Precz ztąd gamoni! I taki to warjat mieni się być kolegą po fachu. Idź tam skąd cię licho tu przyniosło.

Sowizdrzał stosując się wiernie do słów cyrulika, wylazł znów oknem, wybijając drugą szybę.

Sowizdrzał hultaj młody,
Czyniąc raz po raz szkody
Zawsze gotów do zgody,
Jako ryba do wody.
I choć się pienią, złoścza,
Pretensji doń nie roszcza,
Boć on groszem nie śmierdzi,
Jak ten i ów sam twierdzi.

Sowizdrzał furtjanem.

Zmęczony drogą Sowizdrzał ujrzał niedaleko klasztor. Ucieszył się bardzo, bo pragnął zaspokoić głód i przez noc wypocząć.

Doszedł do furtki klasztornej i zadzwonił. Otworzył mu jeden z mnichów, bo furtjana nie było? Zaprowadził Sowizdrzała ów mnich do przeora, a ten począł wypytywać się przybysza zkąd przywędrował i co robił.

— Z Drezna przybyłem — odparł bez zająknięcia Sowizdrzał — gdzie w jednym z klasztorów pełniłem obowiązki furtjana.

— Właśnie potrzebuję furtjana, możesz od jutra zacząć tą funkcję, bylebyś zastosował się do moich wskazówek: przedewszystkiem nie wpuszczaj wszystkich, a tyl-

ko co piątego, gdyż klasztorne zapasy prędko wyczerpałyby się, a na dalsze nie mam widoków.

— Wolę księdza przeora spełniać będę co do joty.

Dano mu jadła i wina, poczem zadowolony Sowizdrzał, na przeznaczonym mu locum legł spać.

Nazajutrz wpuszczał co piątego, nie zwracając uwagi kogo odprawia, z czego wynikło nieporozumienie i oparło się o przeora.

Złe pojąłeś moje zlecenie, gdyż naszych braciszków klasztornych i służbę nie wpuściłeś i z tego powstał nieporządek w całym klasztorze. Na przyszłość wpuszczaj co piątego, lecz wśród obcych ludzi. Dam ci jeszcze jedną czynność, oto wyreperujesz schody, wiodące do piwnicy, żeby żaden braciszek z nich nie spadł, jak to parę dni miało miejsce.

Sowizdrzał wziął się energicznie do roboty i rozebrał schody, nikogo ze służby nie ostrzegając, a tylko braciszka, gdy który z nich się zbliżył.

Kucharz, chcąc zabrać z piwnicy warzywo, wziął ze sobą do pomocy chłopca i obaj wpadli na sam dół owej piwnicy mocno się potłukłszy. Zrobił się niemały hałas, co przywiodło i przeora na miejsce wypadku. Kucharza i pomocnika wydobyto ledwie żywych.

Przeor zwrócił się do sprawcy z surowym napomnieniem;

— Jak mogłeś nie ostrzedz ludzi, usunąwszy schody? Wszak o wypadek nie było trudno.

— Rozebrałem schody, ażeby je lepiej wyreperować, a co do ostrzeżenia, to wiernie spełniłem polecenie, aby żaden z braciszków nie spadł, o kim innym nie było mowy.

Przeor, upatrując w tem złośliwy żart, wygnał zaraz Sowizdrzała z klasztoru po tygodniowym zaledwie jego pobycie.

Dziwił się Sowizdrzał, że ponosi karę,
Że w ludziach on wzbudza do siebie niewiarę,
Czyż za to, że spełnia co mu tylko każa,
To pocóż czynnością niewłaściwą darzą.
Wszak on tak niewinny, tak zawsze usłużny,
Całemu wszechświatu niechciałby być dłużny.

Sowizdrzał handlarzem koni.

W Inspruku dorobiwszy się nieco grosza, zapragnął Sowizdrzał kupić konia, aby go następnie z zyskiem sprzedać. Poszedł tedy na targ koński i upatrzywszy niezłego gniadosza począł handlować się z handlarzem. Ten żądał 50 talarów; Sowizdrzał dawał 35, targ w targ, nabył konia za 40.

— Dam wam teraz 20 talarów, a drugą połowę będę wam dłużny — rzecze Sowizdrzał.

— Zgoda — odparł handlarz — a gdzie mieszkanie?

— Tuż obok domu burmistrza, w tym żółtym budynku — rzekł spokojnie Sowizdrzał, wskazując palcem.

Po miesiącu zgłosił się handlarz do mieszkania Sowizdrzała, lecz go nie zastał, dla tej prostej przyczyny, że ten się już zdążył wyprowadzić! Zmartwiony, szukał go po całym mieście, lecz nic się o nim dowiedzieć nie mógł. Pewnego jednak ranka trafiła mu się sposobność złapania swojego dłużnika, rzekł więc do niego:

— Czas już, mój panie, abyście mi zwrócili należność!

— Owszem, wszak mówiłem wyraźnie, że będę wam dłużnym, a kiedy zapłacę, tego nie oznaczyłem.

— Jakto, więc mam czekać do sądnego dnia?

— A jużćie nie inaczej, trzeba wam było żądać terminu spłaty, ja jestem w zupełnym porządku, gdyż nie wypieram się, że jestem dłużny 20 talarów i zawsze o tem będę pamiętać.

Handlarz siarczyście zaklął, iż dał się na głupca wystrychnąć.

Sowizdrzał, sprzedawszy niezłe gniadosza, nabył drugiego lichszego i zaprowadził na targowisko. Wkrótce zjawił się chłop, zapytując o cenę.

— Dwadzieścia pięć talarów — rzekł Sowizdrzał, jak gdyby mu nie zależało na sprzedaży.

Chłop począł rumakowi zaglądać w zęby, to w ślepia i t. d., w końcu rzecze:

— A czy nie ma jakiej wady.

— Tylko jedną, nie chce przechodzić przez drzewa, jakiś dziwak.

— To głupstwo, przecież nie będę z nim jeździł przez drzewa, a tylko po możliwej drodze.

Poczem zapłacił, otrzymawszy wzamian kwit od Sowizdrzała.

Razu jednego miał chłop przejeżdżać na owym koniu przez most, aż tu naraz ujawniło się dziwactwo rumaka, gdyż, mimo zmuszania go do przejścia mostu, niechciał na-przód ruszyć, to stając dęba, to nakoniec wrywszy się kopytami w ziemię. Nie było rady, chłop musiał rejterować.

Zaskarżył Sowizdrzała do sądu o zwrot talarów.

— Prześwietny sędzio, wszak uprzedziłem nabywcę, że koń ma wadę, gdyż niechce iść przez drzewa, na co się roześmiał, a przecież most, o który mu tak chodzi, zbudowany jest z drzewa. Czyż moja wina, że przystał na warunek?

Wobec takiej obrony, chłop przegrał sprawę:

Nie bądź nigdy łatwowierny,
Bo dasz dowód, żeś człek mierny,
Chytry gałgan cię obmota,
Pozbawiając resztek złota.

Ostatni figiel.

Wszystko na tym świecie jest znikomem, skończyło się też hulaszczę życie Sowizdrzała, który czując się coraz słabszym na zdrowiu, zapragnął powrócić do swoich rodzinnych stron i osiąść tam na stałe, licząc na to, że krewni, spodziewając się po nim niemałej schedy, zebranej po licznych wędrówkach, zechcą się nim zaopiekować w czasie jego niemocy.

Ledwie że zawlókł się do swej wsi, znalazł zaraz czułą opiekę, gdyż napomknął coś nie coś o talarach, zachowanych w sporej szkatułce, którą sprowadził ze sobą.

Po pewnym czasie czuł się coraz gorzej, sporządził przeto testament, mocą którego majątek swój przeznaczył w połowie krewnym, aby sprawiedliwy między sobą zrobili podział, w połowie zaś gminie, z tym jednak warunkiem, aby nie szczędzono na pogrzeb i pochowano go obok dawno zmarłej matki; w dwadzieścia zaś dni po pogrzebie miano dopiero otworzyć szkatułę.

Dawno we wsi tej nie chowano tak uroczyście i za-
możnie, jak imci Sowizdrzała.

Krewni, w oczekiwaniu spadku, zaczęli się między sobą kłócić, kto z nich powinien więcej otrzymać, gdyż ten i ów udawadniał, iż bliższym jest nieboszczykowi po kądzieli i mogło dojść w końcu do nie pożądaných wyników, bo chciwość ludzka niema granic, gdyby nie następujący fakt.

Dzień oznaczony nadszedł, otworzono szkatułę w obecności przedstawiciela miejscowej władzy i oto, ku zdziwieniu wszystkich, ujrzano po sam wierzch ułożone same... kamienie.

Po takim rozczarowaniu, nic dziwnego, że i spory umilkły, a natomiast śmiano się z ostatniego Sowizdrzałowego figla.

Zawsze za życia był pełen humoru,
Do samej śmierci nie tracił waloru;
Miał drogie kamienie w spadku zostawić,
Wolał swych krewnych półnemi zabawić.
Bo wszystko naopak czynił Sowizdrzał
I nigdzie na długo miejsca nie zagrzał,
Aż spokój znalazł w wiecznych cieniach mroku,
W tysiąc trzysta czterdziestym ósmym roku.

K O N I E C.

INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH I
BIBLIOTEKA
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72
Tel. 26-68-65

Do nabycia w księgarni Ch. J. Rosenweina
oraz we wszystkich księgarniach w War-
szawie i na prowincji.



Miljon piosenek. Wybór najpiękniejszych aryi i kupletów z operetek i komedyjek, oraz zbiór najpopularniejszych piosenek ludowych. Część I kop. 25, część II kop. 20.

Skarbczyk ulubionych piosenek. Wybór najpiękniejszych kupletów z operetek i komedyjek oraz zbiór najpopularniejszych śpiewek ludowych. Cena kop. 25.

Wielki wybór powinszowań, wierszem i prozą na wszystkie uroczystości rodzinne, oraz wiersze okolicznościowe i do imienników przez F. G. Rafalskiego. Cena kop. 25.

Miljon snów. Nowy wielki sennik opracowany podług najwiarogodniejszych ksiąg, zawierający przepowiednie wszystkich snów z dodaniem wróżenia z kart oraz z rąk z oznaczeniem panujących planet. Cena kop. 25.

Najnowsza wyrocznia przyszłości, wyjawiająca tajemnice życiowe czyli sztuka dowiedzenia się o swoim losie za pomocą kart lub figur symbolicznych, zawierająca 800 nieomylnych przepowiedni z dodaniem siedmiu czarodziejskich tablic. Cena kop. 20.

Listy miłosne. Przewodnik dla zakochanych zawierający wielki wybór najpiękniejszych listów miłosnych oraz rozmaitych pamiątkowych wierszyków. Cena kop. 30.

Śpiewy i piosenki. Zbiór walców, mazurków i krakowiaków. Cena kop. 20.

Wesoły Deklamator. Zbiór najpiękniejszych deklamacyi i monologów. Cena kop. 25.

Dzieci stepów. Opowiadanie z wojen amerykańskich. Cena kop. 20.

Najnowszy Sekretarz powszechny, praktyczny podręcznik dla samouków, zawierający 450 wzorów korespondencyi w różnych stosunkach życia codziennego. Cena kop. 75.

Bohater i Zdrajca. Opowiadanie historyczne z czasów Napoleona I-go. Cena kop. 25.

Ulubione śpiewki polskie. Wybór najpiękniejszych Piosenek, Krakowiaków i Mazurków. Cena kop. 25.

Rinaldo-Rinaldini, życie i czyny sławnego bandyty włoskiego. Cena kop. 20.

Walki Indian z białymi, czyli wódz Czerwonoskórych. Opowiadanie historyczne na tle wojen Amer. Cena kop. 20.

Pożar w kopalniach, czyli Bóg niewinnych nieopuszcza. Cena kop. 20.

Napad w pustyni, czyli krwawe dzieje lasów Indyjskich. Cena kop. 25.

F

23.917